

informer

GDAŃSKIEGO KLUBU FANTASTYKI

NR 269
wrzesień 2011



ISSN 1505-8476



9 771505 847001

OBRAZ PRZEMOCY W POPULARNYCH OPOWIEŚCIACH

Odbiorcy sztuki narracyjnej (literatury, filmu, komiksu) z reguły lubią, gdy w utworze „coś się dzieje” – a stąd już blisko do różnych dramatycznych perypetii bohaterów i niedaleko do obrazów przemocy. Powyższa uwaga dotyczy także sztuki wysokiej – jednak nie będę we wstępiaku „Informatora” analizował *Makbeta* Szekspira czy *Biesów* Dostojewskiego, skupię się na znacznie lżejszej muzie. I na zakodowanej gdzieś w nas potrzebie agresji oraz na swoistej dwuznaczności społecznego odbioru tego typu fabuł.

Pierwszym zabiegiem autorów jest pokazanie „czarnych charakterów” w sposób tak jednoznacznie odrażający, że nie będzie nam absolutnie żal, gdy spotka ich zasłużona (i koniecznie straszliwa!) kara. Najnowsze przykłady można znaleźć nie tylko w filmie dalekim od wyrafinowania (totalne popłuczyny Stallone’a po *Rambo* – zaczynające się od pokazania pacyfikacji wioski przez żołdaków z birmańskiej junty), ale też w kinie wyrafinowanym (morderstwo dokonane na całej rodzinie w początkach *Historii przemocy* Cronenberga). Po takich obrazkach – widz czeka niecierpliwie, by zbrodniarze skończyli możliwie krwawo i boleśnie, gdyż dokonało się całkowite odczłowieczenie tych postaci.

Dodam przykład niezbyt wyrafinowany, lecz nader wyrazisty: filmowy cykl *Życzenie śmierci* z Charlesem Bronsonem. Czasem wdychamy, że przydałby się taki pan architekt w niektórych zaułkach naszych miast. Pozornie tak; ale – czy na pewno? Wizja faceta łążącego z dużą spluwą i robiącego na bieżąco porządek z rozmaitym elementem wydaje się na pierwszy rzut oka nader atrakcyjna – jednak w rzeczywistym świecie ktoś taki przyniosłby więcej szkody niż pożytku (nawet pomijam fakt, iż ewidentnie łamałby prawo!). Świat tego sensacyjnego filmu jest bowiem światem jednoznacznie uproszczonym, narysowanym w tonacji czarno-białej: dobry są dobrzy, źli są źli. Wszystkie te bandziory, które wyrządziły krzywdę bliskim głównego bohatera – to rzeczywiście ewidentne chwały zasługujące tylko na wyrwanie; on zaś nigdy nie myli się w swych sądach – więc żadne przypadkowe ofiary nie wchodzi w ogóle w rachubę. Realny świat tak dychotomiczny jednak nie jest: nie każdy rozrabiający na ulicy wyrostek jest niepoprawnym psychopatą (często istnych cudów dokonać może wyciągnięta w porę dłoń), a samozwańczy sędzia prędzej czy później zastrzeliłby kogoś nie zasługującego na podobną karę (czy wręcz przypadkowego). Taka działalność byłaby de facto zwykłym linczem – a omylność i amoralność samosądów jest bezdyskusyjna.

Najbardziej jednak amoralne w *Życzeniu śmierci* jest jedno: architekt grany przez Bronsona tę swoją dodatkową robotę najwyraźniej (i to już pod koniec pierwszego filmu) polubił – co zresztą psychologicznie stawia go daleko nawet od komiksowego Bruce’a Wayne’a (który strój Batmana nosi jednak z wyraźnym dyskomfortem). W tym miejscu chciałbym zrehabilitować inną kojarzoną z przemocą postać: inspektora Harry’ego Callahana – z powieści, z jej ekranizacji oraz z cyklu sequeli. Często o Brudnym Harrym pisze się jako o brutalnym policjancie łamiącym prawo. Z tą pierwszą tezą mogę się jako-tako zgodzić; z tą drugą – absolutnie nie. Policjant grany przez Clinta Eastwooda reprezentuje typ gliniarza, dla którego absolutnym priorytetem jest niesienie pomocy ofiarom przestępstw; to one są dla niego najważniejsze i to dla nich jest gotów do poświęceń – ewentualne „racje” przestępców są dlań w tym kontekście całkowicie nieistotne. Jednak tezie o bezprawiu przeczy drugi film o Callahanie, *Siła magnum*, gdzie Brudny Harry rozprawia się z policyjnymi renegatami upraszczającymi sobie pracę poprzez mordowanie podejrzanych. Znane jest oczywiście prowokowanie obezwładnionych przestępców przez Harry’ego – nikt jednak nie musi tej prowokacji ulegać; najbardziej chyba bohater Eastwooda oddalił się od litery prawa w przedostatnim filmie cyklu, *Nagłym zderzeniu*, poniechawszy śledztwa w sprawie dziewczyny mszczącej się na gwałtcielnach. Oczywiście nadal możliwa jest pomyłka w wykonaniu zagonionego stróża prawa (co zostało pysznie sparodiowane w którejś *Nagiej bronii*).

Odstresowujemy się czasami na tego typu filmach – ale zachowując zdrowy dystans!

URODZINY

Kochani październikowi Urodzeńcy!

W tym wyborczym okresie życzymy Wam:

- * bezkosztowej edukacji na najwyższym poziomie;
- * zgodnej z Waszymi kwalifikacjami pracy na czas nieokreślony za co najmniej średnią unijną lub świetnie prosperującej firmy funkcjonującej bez zbędnych formalności;
- * emerytury pozwalającej interesująco i bezproblemowo przeżywać „trzecią młodość (i n-tą miłość)“;
- * maksymalnych świadczeń i minimalnych podatków;
- * darmowej, nowoczesnej i dostępnej w każdej chwili służby zdrowia;
- * po dobrym samochodzie dla każdego członka rodziny oraz pustych parkingów i żadnych korków;
- * wszystkich ulic i dróg bez dziur i łat oraz kompletnej sieci autostrad;
- * czystych i punktualnych pociągów oraz wyremontowanych dworców;
- * złotówki wartej cztery franki;
- * i wszystkiego dobrego, co może jeszcze przyjść do głowy!

Obiecujemy Wam to wszystko najpóźniej do końca roku

- tylko na nas zagłosujcie!

INFOredaktorzy

2 Natalia Jaworska

Joanna Kamrowska

Mieczysław Sierociński

3 Joanna Klimas

Andrzej Zimniak

4 Edward Kołakowski

5 Janusz Bułakowski

9 Anna Siwec

10 Rafał Gosieniecki

13 Tomasz Kołodziejczak

19 Karolina Górka

21 Grzegorz Kozubski

31 Krzysztof Chmielewski



Celował do mnie
z pistolecika

Czterech lat
rządzenia daj Boże

Chyba myślę,
więc chyba jestem

Do tego poziomu
wzrosną pensje...
strażaków

Pieniądz jest
najważniejszy

A ruki swobodnyje

WRAŻEŚNIOWE POSIEDZENIE ZARZĄDU GDAŃSKIEGO KLUBU FANTASTYKI

O odbyło się 14 września 2011 r. Ważniejsze z poruszanych spraw:

I. SPRAWY ORGANIZACYJNE

1. GKF podpisał umowę z Urzędem Miejskim w Gdańsku w sprawie użyczenia lokalu przy ul. Brzozowej 3B do dnia 31 sierpnia 2012 r. Odbiór lokalu nastąpi w najbliższych dniach.
2. Do Gdańskiego Klubu Fantastyki przyjęto Klub Lokalny „Mare Argentum”.
3. Omówiono końcowe prace nad stworzeniem nowej strony internetowej. Rozruch strony jest planowany w ciągu kilku tygodni. Omówiono stworzenie grupy osób stale redagujących stronę.
4. Omówiono projekt wypożyczania maturzystom zbiorów biblioteki GKF.
5. Omówiono aktualizację katalogu zbiorów bibliotecznych GKF i projekt przeniesienia danych do bazy SQL.
6. Omówiono sprawę nowego loga klubowego.

II. SPRAWY PERSONALNE

1. Zmiany funkcyjne:
Zarząd KL „Mare Argentum”: prezes – Michał Malara, skarbnik – Angelika Walkusz.
2. Przyjęcie nowych członków do GKF: Cezary Zieliński, Aneta Kokot, Natalia Jaworska, Marek Grzegorek, Aleksandra Pniewska, Patricia Sørensen Piotr Olszewski, Radosław Siemiński, Angelika Wolkusz.
3. Skreślenie za nieopłacenie składek: Michał Jakubiec.
4. Przeniesienia: Mirror Miotk z „Mirrora” do „Mare Argentum”, Kacper Ruczyński z „Angmaru” do „Mirrora”.

III. SPRAWY FINANSOWE

1. Przyznano dofinansowanie na udział w obchodach 30-lecia Śląskiego Klubu Fantastyki Tomaszowi Hodze i Bogusławowi Gwozdeckiemu.
2. Przyznano dofinansowanie Wojciechowi Ingielewiczowi na udział w Festiwalu Fantastyki „Inne Sfer” we Wrocławiu.
3. Udzielono zgody na zakup drukarki laserowej dla skarbnika.
4. Omówiono koszty produkcji matrycy z logiem klubowym do druku znaczków.

IV. IMPREZY

1. Spotkanie grupy organizacyjnej Nordconu 2011 odbędzie się w środę 21 września o 18:30.
2. Jeep Night odbędzie się w dniach 5 – 6 listopada lub 12 – 13 listopada.
3. Warsztaty literackie dla młodzieży odbędą się 15 i 22 października 2011 r., 5 i 19 listopada 2011 r. oraz 3 grudnia 2011 r. Omówiono promocję warsztatów w szkołach.

7 sierpnia 2011 r., podczas Polconu w Poznaniu, Rada Fandomu wybrała nowe władze Związku Stowarzyszeń „Fandom Polski”:

Prezes – Witold Siekierzyński

Członek Zarządu – Mamert Janion

Wiceprezes – Elżbieta Gepfert

Członek Zarządu – Mirosław Kowalski

Skarbnik – Bogusław Gwozdecki

Członek Zarządu – Michał Karzyński

Sekretarz – Marcin Szklarski

Mój POLCON 2011 widzę ogromny!

Tak, pierwsze wrażenie, jakie miałam, gdy weszłam na teren Międzynarodowych Targów Poznańskich, to było wrażenie ogromu. Targi to właściwie miasteczko w mieście, całkiem spore, oddzielone od świata wysokim płotem. Główny budynek, czyli samo serce konwentu, także był spory, i choć w pierwszej chwili stwierdziłam, że może to działać na niekorzyść (ludzie się rozejdą, rozsypią gdzieś po kątach), całkiem szybko przekonałam się, że byłam w błędzie.

Trzeba przyznać, że wszystko działało sprawnie. Akredytacja zajęła dosłownie kilka chwil (choć pewnie w godzinach szczytu trzeba było trochę poczekać), zostaliśmy zaobraczkowani, dostaliśmy do rąk „zestaw małego konwentowicza” i odesłano nas w stronę bramek (kapryśne bestie, przez pierwszy dzień nie bardzo chciały mnie wpuszczać). Punkty programu koncentrowały się głównie w dwóch budynkach, położonych całkiem blisko siebie, tak że nawet jeśli dwie prelekcje, na które miało się chętkę, występowały zaraz po sobie, nie było większego problemu z przejściem.



A program był naprawdę dobry. Mogliśmy posłuchać o stenografii, wilkołakach czy bóstwach nordyckich, dowiedzieć się co nieco o japońskich sztukach walki, porozmawiać z autorami i zdobyć kilka autografów. Zdarzało się nierzadko, że kilka ciekawych prelekcji odbywało się jednocześnie i nieraz bywały kłopoty z podjęciem decyzji. Podobno bardzo dobrze zorganizowany był też blok dziecięcy – niestety, mimo szczyrych chęci, nie mogłam się o tym przekonać na własnej skórze, ograniczenia wiekowe rozwiały moje nadzieje na poszukiwanie smoczyczych skarbów czy przemianę w startrekowego kosmitę. Jednak dzieciaczki były bardzo z zabaw zadowolone.

Kolejnym plusem przestronnego budynku głównego był rozmiar ogródka piwnego – rzadko bywało, by dla kogoś zabrakło miejsca. W czwartek i piątek panował upał, także wewnątrz budynków, więc wszelkiego rodzaju napoje cieszyły się dużym powodzeniem, można było spokojnie usiąść przy stoliku i trochę ochłoniąć pomiędzy prelekcjami. Szkoda jednak, że w głównym budynku nie zmieściło się stoisko z książkami. Książki można było kupić w budynku sąsiednim ale jednak przydałoby się coś i w hallu głównym, jakiś mały symbol literackiego aspektu konwentu.

Nigdy także nie brakowało miejsca w gamesroomie, wybór gier (jak dla mnie, laika) był też całkiem spory i nie zaobserwowałam na tej płaszczyźnie żadnych zgrzytów.

Dość sporo ludzi, zamiast akademików i szkoły, wybrało nocleg w hotelu. Akademiki, co tu dużo mówić, nie są najprzyjemniejszym miejscem, ale dało się przeżyć, było na tyle czysto, na ile można się tego spodziewać po studenckiej bursie. Były nieco oddalone od terenu konwentu, ale odległość kształtowała się rozsądnie, a piętnastominutowy spacer z rana całkiem dobrze robił na samopoczuciu.

Gala rozdania nagrody im. Janusza A. Zajdla odbyła się w budynku obok budynku głównego i była całkiem niezle przygotowana. Nagrodę za najlepsze opowiadanie otrzymała Anna Kańtoch („Duchy w maszynach”), natomiast w mistrzem powieści demokratycznie obrany został Jacek Dukaj („Król Bólu i pasikonik”). Serdecznie gratulujemy!

W tym jednak miejscu wydarzył się zgrzyt – do komisji liczącej głosy dotarła informacja, że kilka osób starało się manipulować głosami, co dodało kropli goryczy do ogólnej radości. Na szczęście głosy manipulowane zostały unieważnione.

Pozostaje też trochę żalu, że tak niewielki odsetek polkonowiczów głosuje na nagrodę Zajdla. Głosów zostało oddanych nieco mniej niż trzysta, podczas gdy liczba uczestników konwentu wahała się gdzieś między tysiąc siedemset a tysiąc dziewięćset osób. Jest to jednak stała bolączka Polconu i można mieć jedynie nadzieję, że kiedyś te proporcje ulegną zmianie na lepsze.

Poza tymi nieprzyjemnościami – uważam jednak Polcon 2011 za konwent wyjątkowo udany i chylę czoła przed orgami, którzy działali sprawnie, a pomagali chętnie. Na moje laickie oko wszystko było dopięte na ostatni guzik. Tak że nikogo chyba nie zdziwi to, że na koniec zakrzyknę: Wiwat Druga Era! Dziękujemy!

Karolina „Szczura” Majcher



MAGIC

The Gathering®

Dnia 27 sierpnia odbył się kolejny turniej z serii SNM.

Saturday Night Magic doczekał się 13 odstony. W rozgrywkach wzięło udział 11 graczy. Niska frekwencja, ze względów wakacyjnych, nie przeszkodziła jednak w dobrej zabawie. O nagrody walczyli Michał Bargielski z Adrianem Trepczykiem. Dwaj młodzi przedstawiciele Trójmiejskiej Sceny ograli starych wyjadaczy Sceny i podzielili się nagrodami, w ostatniej rundzie biorąc remis. Kilka zdjęć poniżej z tej karcianej zacinki.

Saturday Night Magic doczekał się 13 odstony. W rozgrywkach wzięło udział 11 graczy. Niska frekwencja, ze względów wakacyjnych, nie przeszkodziła jednak w dobrej zabawie. O nagrody walczyli Michał Bargielski z Adrianem Trepczykiem. Dwaj młodzi przedstawiciele Trójmiejskiej Sceny ograli starych wyjadaczy Sceny i podzielili się nagrodami, w ostatniej rundzie biorąc remis. Kilka zdjęć poniżej z tej karcianej zacinki.

Saturday Night Magic doczekał się 13 odstony. W rozgrywkach wzięło udział 11 graczy. Niska frekwencja, ze względów wakacyjnych, nie przeszkodziła jednak w dobrej zabawie. O nagrody walczyli Michał Bargielski z Adrianem Trepczykiem. Dwaj młodzi przedstawiciele Trójmiejskiej Sceny ograli starych wyjadaczy Sceny i podzielili się nagrodami, w ostatniej rundzie biorąc remis. Kilka zdjęć poniżej z tej karcianej zacinki.



Już we wrześniu odbędzie się inauguracja nowego dodatku do Magic: the Gathering.

Innistrad – najnowszy dodatek zapowiadający cały blok opowiadający o strasznych zombiach, wilkołakach, duchach i wampirach – będzie miał swój pre-release w dniach 24-25 września. Dział Gier Karcianych GKFu, wraz ze sklepem Futurex, ma zaszczyt zaprosić wszystkich tych, którzy zechcą poznać świat horroru Innistrad.

Szczegóły dotyczące turniejów pre-releasowych Innistrad na stronie internetowej Trójmiejskiej Sceny Mtg (www.tsmtg.blogspot.com).



LARPOWISKO



Co to za konwent, ten Hardkon?...

HARDKON jest zlotem wielbicieli terenowych gier fabularnych pod każdą postacią. Przez 10 dni rozgrywamy LARPy (od angielskiego Live Action Role Playing Games) i terenówki. Innymi słowy – przenosimy się do innych czasów, miejsc i światów. Większość gier trwa kilka godzin, z wyjątkiem Gry Główniej, której poświęcone są aż trzy dni. Oprócz gier na konwencie odbywają się warsztaty (wokalne, aktorskie), koncerty (od harfy po rocka), turnieje gier planszowych i karcianych, projekcje filmów i przeróżne akcje improwizowane przez uczestników.

Pierwszy Hardkon odbył się w Sławutowie koło Pucka, od 2008 roku spotykamy się na "Przystanku Alaska" – absolutnie wyjątkowym i klimatycznym centrum agroturystycznym z bardzo dobrą bazą noclegową (do wyboru domki i pole namiotowe – prócz tego jest dostęp do ciepłego prysznica, darmowych umywalni, prawdziwych toalet, małego sklepiku).

W sumie – 8 dni ciągłej zabawy nad jeziorem, w sercu kaszubskich lasów, za mniej niż 100 zł. Niemożliwe? A jednak...

Kula

Hardkon'11 a właściwie Kalekon'11, odbył się w dniach 30.07-07.08, tradycyjnie na „Przystanku Alaska” w Gliśnie Wielkim. Uwaga dla kierowców na przyszłość: w Bytowie jest słabo oznakowana krajowa dwudziestka! Jeśli pojedzie się metodą „popatrz jaka szeroka i dobrej jakości prosta droga – to musi być krajówka” wjedziemy na regionalną 209 i zmarnujemy sporo benzyny, bo szybka jazda po niej jest bardzo przyjemna...

Dla niewtajemniczonych: „Przystanek Alaska” gwarantuje klimatyczne rustykalnie-spartańskie warunki z łosiowymi akcentami w dużych ilościach. Ceny są niskie, a klimat z serialu koi nerwy.

Po dojechaniu na miejsce wieczorem rozegrano powitalnego Jeepa „What happened to the Boy Wonder?”, okraszzonego dla klimatu fragmentami serialu animowanego.

Następnego dnia organizatorzy rozpoczęli od bomby atomowej. Dosłownie.. 4-godzinny LARPem „atomic Cthulhu” prosto ze stajni Utlenionej Siekiery. Znakomita rozgrywka wymagająca dużo myślenia i współdziałania od sił Armii Czerwonej próbującej poradzić sobie jednocześnie z Obcymi, Japończykami, Chińczykami, Amerykanami, Reaktorami oraz Naukowcami (cholerni inteligenci pracujący!!! Wszystko zepsuli! (mówię to jako były pułkownik)). Był to LARP bardzo widowiskowy, rozegrany na terenie całego ośrodka, z dużą ilością rekwizytów oraz zawiłą fabułą z niespodziewanką na końcu.

Inną atrakcją był świetnie przygotowany LARP „Pokolenia”. Chodziło o to, że statek kosmiczny lecący przez sześć pokoleń wiezie społeczność o pewnej światopoglądowej puli genowej, przekazywanej z pokolenia na pokolenie (Bardzo nowatorskie podejście: gracz nie był jednostką, ale rodziną trwającą pokolenia). W skrócie zadaniem gracza było bronienie i szerzenie swoich światopoglądów, poprzez wymianę ich i wpisywanie na kartę rodziny swoją i swojego „partnera prokreacyjnego” na zasadzie wymiany równorzędnej (lub też nie). Brawa dla Fingrina i Ziola z Wielosferu (za stworzenie tego dzieła), Mirage'a za kapłana wierzącego w Adolfa i Kosmitów (ach, te kazaniowiece partyjne) oraz dla Kuli, który narzucił zarówno faszyzm, jak i swoje nazwisko połowie statku (Heil daVinci, chciałoby się rzec), oraz dla Psychologa Kapusty za pseudomedyczny bełkot (500 mg prozacu na czczo dla każdego!!!). Był to LARP oparty bardziej na interakcji

kombinatorskiej niż na odgrywaniu, ale klimat i odgrywanie narzuciło się same. Niestety faszyci wierzący w kosmitów, gardzący pozostawioną przez siebie dawną Ziemią i praktykujący eugenikę, większościami zdecydowali o zniszczeniu planety docelowej. Wspomniały przykład larpowej nielinowości.

Kolejna atrakcja to jezioro, gdzie rozegrał się nie tylko zabawny komediowy JEEP Mirage'a „Czyja to kwestia”, ale też nocny konkurs poławiania lightsticków oraz lightstickowe kąpiele nocne. Zabawa w czystej postaci.

Kolejną pamiętną formą był JEEP Niki i Nemezis „Coming out”. W świetny i zabawny sposób przedstawił on problemy młodych gejów wychodzących z maskarady. Brawa dla „ojca” i „syna” za świetną grę i rewelacyjne dialogi. A zwłaszcza dla twórczyń, które poważny temat przedstawiły prawdziwie, ale i bez pretensjonalności i martyrologii, która często się pojawia przy podobnych tematach. Widownia ciągle parskała śmiechem.

Innym JEEPem było dość dobrze znane kuszenie/zbawienie. Była to historyczna odsona, gdyż odbyła się pod koniec konwentu, kiedy to wygłodniała publika rzuciła się na Rurki Zła z Kremem Grzechu – i tak oto że pierwszy raz w historii zło wygrał w JEEPie.

Jeszcze inną, zdecydowanie świetną grą był LARP „Rada panów znakomitych o wojnie i pokoju” sióstr Żerańskich z Funrealu. W skrócie: pałacowa pornointryga (każdy dyma każdego) z dużą ilością radosnego wybebeszania. LARP idealny dla zaawansowanych miłośników knowań.

Kolejnym świetnym punktem programu był okryty sławą „Tron wszechglutodzierzcy” (gra terenowa w stylu warcrafta) Vina z Funrealu. Tak, tak, mości państwo, w tej odsłonie też był wyjazd do szpitala i kołnierz ortopedyczny. Była to okazja do wykazania się zwinnością (dla wojowników) oraz kondycją (dla robotnic... Matko Święta... Jak można tyle biegać!).

A teraz wyjaśnię, skąd nazwa „kalekon”. W szczytowym momencie mieliśmy na konwencie 6 osób z poważnymi uszkodzeniami ciała, powstałymi głównie w trakcie konwentu. Krwawe żniwo zebrała platforma na jeziorze (wina Platformy!), Nocny CTF (podkradanie „flag”), „Tron Wszechglutodzierzcy”. Pojawiły się pogłoski o tym, że szpital w Bytowie otwiera nowy program lojalnościowy dla uczestników, zaś NFZ podobno zaczyna nową reformę.

Innym, dosyć relaksacyjnym punktem programu były ćwiczenia z emisji głosu. Boso na trawie nad jeziorem grupa ludzi wydaje z siebie dziwne dźwięki, zaś prowadząca mówi coś o rozluźnianiu się... Czujęm się (i nie tylko ja, bo prawie wszyscy) jak na spotkaniu sekty. Ale to tradycja, że ćwiczenia głosowe są... po prostu dziwne.

Większą jednak część czasu trwały gry planszowe w karczmie. Jeśli ktoś nie lubił gier planszowych, to miał duży problem, żeby móc z kimś coś zrobić lub czymś się zająć, gdy pół konwentu siedzi i gra, zaś reszta odsypia nocną imprezę. Całe szczęście, że teren jest atrakcyjny turystycznie (ładne lasy, dużo grzybów, fajne jeziora, dostęp kajaków) i można sobie znaleźć coś do roboty. Jednak z planszówek wielką furorę zrobił „Hive”, który podchodził każdemu. Podobny do szachów, ale bardziej widowiskowy i ciekawszy. Swoimi owadami o różnych możliwych ruchach próbujesz otoczyć wrogą królową. Nawet ci, którzy nie potrafili grać w szachy, umieli w tym miażdżyć. Odbył się nawet turniej, wygrany przez Bolesława Charkiewicza.

Było też sporo karcianek (zwłaszcza Magica, choć główną częścią był turniej testowy nowych gier Trefla). Rzucały się one niektórym na mózg, np. po ubiciu szerszenia: „Hmm... Zyskaliśmy reacha przeciwko flying creature!”

Hardkon trwał osiem dni. Obniżało to zagęszczenie akcji i było zdecydowanie za dużo czasu wolnego. Był to jednak zawsze konwent nastawiony na odpoczynek i rekreację – i decydując w przyszłym roku o wyjeździe warto o tym wiedzieć. Nie można jednak uznać tego czasu za stracony, zaś sama zawartość konwentu dostarczała dużo zabawy.

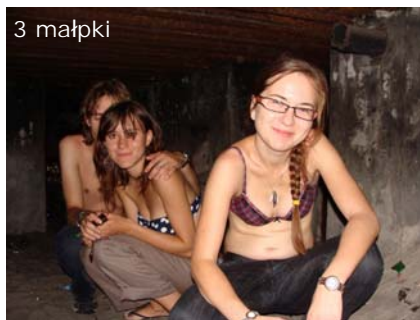
Prawie nam się udało zrobić larpa na Helu.

Słońce, plaża, morze, 30 stopni i ludzie, z którymi to wszystko razem połączone staje się cudowną zabawą. Oto trzeci weekend sierpnia z GKFem (w poniższej notce występującym w składzie: Paulina, Eli, Dominika z zaprzyjaźnionego LKFu, Jerzy, Dimzard, Eustachy, Shaman oraz niżej podpisany). Wystartowaliśmy w niedzielny poranek z Gdyni, przepłynęliśmy promem wodnym na Półwysep Helski i już o dziewiątej siedzieliśmy na złocistej plaży. Woda była w sam raz do kąpieli, a fale miło obmywały nasze stopy. Zgodnie z pomysłem naszego kochanego Shamana zakupiliśmy masę pączków i rogalików w najlepszej piekarni na wybrzeżu i wszamaliśmy je, zwiedzając jastarniańską plażę w poszukiwaniu drugowojennych bunkrów. Oczywiście wyjazd mógłby należeć do bardzo nieudanych, gdyby nie uwieńczenie naszych poszukiwań spektakularnym sukcesem – zwiedziliśmy wnętrze jednego z zachowanych w prawie idealnym stanie schronów. Nasz główny organizator zarządził zaraz po tym tył zwrot i ruszyliśmy różnym krokiem w stronę helskiego muzeum Obrony Wybrzeża. Muzeum okazało się być dalej, niż zapewniał nas Pan z Owocami, wielki znawca półwyspu. Na szczęście warto było tam dotrzeć – wszyscy uczestnicy wycieczki zgodnie wbiegli w mrok bunkrowych korytarzy, mając nadzieję na obiecane im LARPa. Warunki atmosferyczne – lejący się z nieba żar – odebrały nam jednak ochotę na grę i postanowiliśmy ją rozegrać już po powrocie do Gdyni, zgodnie uznając plażę za opcję najprzyjemniejszą. Po chilloutowym popołudniu zasiedliśmy na pokładzie i powróciliśmy na teren naszego małego Trójmiasta. To tutaj odbył się pamiętny LARP, którego akcja nawiązywała do historii zwiedzonych przez nas miejsc. Sześcioro graczy otrzymało idealnie zgrane ze sobą postacie, aby wspólnie zagłębić się w przygotowany przez larpmastera świat. Zabawa była przednia! Teraz ciągle czekam na sms – "Coś dziś robimy?".

Miron



plażowo



3 małpki



właściwy człowiek

na właściwym miejscu



weterani vs wspomnienia
– larp w toku



7 Festiwal Instalacji Lirycznych

Tegoroczny Festiwal Instalacji Lirycznych, który odbył się w początkach sierpnia na wyspie Sobieszewskiej był oznaczony cyfrą siedem. Zaproszeni przez organizatorów artyści mieli za zadanie odnieść się do niej w swoich działaniach. Festiwal skupił różnorodnych artystów tworzących w różnorodnych dziedzinach sztuki. Tak więc wystawiono prace międzynarodowej grupy malarskiej pt. „Krasnoludolandia”, zgodnie z plakatem imprezy odbył się audiowizualny koncert na 7 klawiszy, a także Akcja Plastyczno-Liryczna „7 Sakramentów”. Oprócz wyżej wymienionych można było zobaczyć spektakl Teatru Maszoperia pt. „Hulaj Dusza” oraz wysłuchać koncert zespołu Plateau z Martyną Jakubowicz i Markiem Jackowskim („Projekt Grechuta” czyli $5+2=7$ Artystów).

W tym znakomitym towarzystwie *znalazło się kilku rysowników komiksów.* Arkadiusz Klimek i Łukasz Poller, twórcy komiksowego „Wiedźmina” rysowali siedem plansz komiksu. Artystom *związany między innymi z Akademią Komiksu GDAK – January Misiak, Igor Wolski, Tomasz Mering, Maciej Czapiewski, Jakub Babczyński, Wojciech Olszówka, Vera King (która była współorganizatorem imprezy) – przypadło zinterpretowanie siedmiu grzechów głównych. Z zadania tego wywiązali się znakomicie, o czym najlepiej zaświadczyć może liczny tłum zwiedzających, jaki przewinął się w trakcie festiwalu pomiędzy rozstawionymi przez twórców sztalugami.* Twórczy proces komiksiarzy został przerwany jedynie jeszcze jednym punktem programu Festiwalu, a mianowicie Show Poetyckim Barbary Piórkowskiej „7”. Pani Barbara recytowała swoje wiersze przed słuchaczami zgromadzonymi w sali Gdańskiego Archipelagu Kultury „Wyspa Skarbów”. W części interaktywnej wydarzenia poetka, wraz z publicznością, spisała swoje fochy na kartkach papieru, które następnie spłonęły w grillu. Ponieważ pani Barbara nazwała swoje wiersze również fochami – mieliśmy do czynienia z ciekawym odniesieniem do nieśmiertelnej kwestii tworzenia i niszczenia. *Wbrew pozorom wykonane przez rysowników prace ujawniły ich różnorodne postrzeganie zarówno tematu, jak i formy, w jakiej można go ująć. Wśród powstałych prac znalazły się klasyczne komiksowe interpretacje, ilustracyjne komentarze oraz przedstawienia w formie plakatu. Wszystko wykonane na żywo, z szeroką gamą użytych środków artystycznych, w bezpośrednim kontakcie z publicznością.*

Nie ma wątpliwości, że Festiwal osiągnął wyznaczony przez jego organizatorów cel i jeszcze bardziej przybliżył społeczeństwu świat sztuki, a swój skromny przyczynek miało w tym przedsięwzięciu siedmiu wspaniałych rysowników z Pomorza.

Wojciech Olszówka / Tomasz Mering



Nigredo

Wystawa Ilustracji Komiksowej Krzysztofa Chalika

Od końca października przez cały listopad w księgarni Traffic Club przy ul. Brackiej 25, w samym centrum Warszawy, będzie można oglądać wystawę ilustracji Krzysztofa Chalika – rysownika komiksów, który obecnie mieszka i pracuje w Londynie.

Obrazy w klimatach filmów Davida Lyncha, Alfreda Hitchcocka czy Alexa Proyasa, wprowadzają oglądającego w dziwny świat; z jednej strony mroczny i niepokojący, ale równocześnie silnie przyciągający. Są one częścią pewnej historii i, patrząc na nie, po prostu chcemy tę historię poznać, wejść w nią i dowiedzieć się, jak się skończyła. Nie zawsze jest to możliwe. Obrazy bowiem nie mówią wszystkiego. Intuicyjnie czujemy, że jest 'tam' coś jeszcze; coś, czego nie widać, co tylko się przeczuwa; niby jest tuż obok, ale jest tak nieuchwytny, że trudno złapać to wzrokiem.

Pozornie wszystko jest normalne, codzienne, ulice zdają się znajome, ale... nie do końca. Coś jest nie tak; to 'coś', które czujemy przez skórę i to tak intensywnie, że nie daje nam spokoju i wywołuje nieokreśloną tęsknotę, która wciąż na nowo każe spoglądać w stronę obrazu, w nadziei, że wreszcie odnajdziemy umykające naszej uwadze elementy.

W pracach Krzysztofa Chalika możemy dostrzec, poza wspomnianymi powyżej autorami, nawiązania do twórczości Patricii Highsmith, Philipa K. Dicka czy Daphne du Maurier, której opowiadania chętnie filmował Hitchcock.

Jednak, pomimo tych skojarzeń i nawiązań, są one przede wszystkim pracami samego autora, w których widzimy jego własny pomysł na świat.

Świat nie do końca realny. Świat na granicy rzeczywistości i złudzeń. Świat, w którym wszystkie elementy mieszają się ze sobą w mrocznym chaosie, żeby przekształcić się w coś zupełnie innego. Coś, czego nie byliśmy w stanie przewidzieć. W świecie tym spotykamy postacie o zagadkowej przeszłości; ludzi, którzy czasami zaglądają pod podszewkę rzeczywistości, dzięki czemu jest im dane widzieć świat z innej perspektywy. Wchodzimy w zaułki i mroczne, wąskie ulice. Czujemy, że 'coś' skrada się za naszymi plecami.

Taki właśnie jest spacer po mieście Nigredo.

Na wystawie będzie można zobaczyć zarówno pojedyncze obrazy, jak i fragmenty komiksowych historii, a także projekty okładek komiksów. Nie będzie to jednak tylko zwyczajne pokazanie obrazu, wszystkie prace są bowiem równocześnie zilustrowane muzyką, której będzie można posłuchać w Księgarni Traffic Club w czasie trwania wystawy. Hipnotyzujące dźwięki idealnie zgrzywają się z ilustracjami, stając się





uzupełnieniem przedstawionej historii, dzięki czemu sam obraz staje się bardziej wyrazisty i silniej działa na odbiorcę.

Poza tym chcielibyśmy zaprezentować nowość, która już egzystuje w Internecie – komiks multimedialny z animacjami i podkładem dźwiękowym, do którego grafikę przygotowuje Krzysztof Chalik. Jest to *Leanne* – opowieść, która jest spin-offem przygód Torkila Aymore zawartych w cyklu *Gamedec* Marcina Przybyłki, wydanym nakładem wydawnictwa Supernowa. Autor, razem ze Zbigniewem Szatkowskim, jest równocześnie współtwórcą scenariusza do tej historii. Plansze komiksu ukazują się cyklicznie na stronie www.futushare.pl.

Szerzej o *Leanne* opowiedzą jej twórcy w dniu otwarcia wystawy pod koniec października. Tutaj podamy tylko informację, że muzykę do tego projektu, jak i do wszystkich obrazów Krzysztofa Chalika,

stworzył kompozytor Robert Letkiewicz; człowiek, które-go bez wątpienia można nazwać tkaczem emocji – z materii tak delikatnej, jaką jest dźwięk. Współpracował on już wcześniej z Marcinem Przybyłkiem i wydał płytę do serii *Gamedec* – *Gamedecverse* (jest ona dostępna na stronie: www.gamedeczone.com).

O tym, że współpraca Krzysztofa Chalika i Roberta Letkiewicza daje znakomite efekty mogliśmy się przekonać w tym roku, w czerwcu, w czasie XVIII Międzynarodowego Festiwalu Fantastyki w Nidzicy, organizowanego przez Wydawnictwo Solaris – wszyscy obecni w tym czasie na nidzickim zamku mogli wziąć udział w koncercie muzyki elektronicznej Roberta Letkiewicza, która była dźwiękową ilustracją niektórych prac Krzyśka Chalika.

My tymczasem zapraszamy wszystkich na wędrowkę po zagubionych autostradach, które mogą zaprowadzić nas do świata widzianego zazwyczaj tylko kątem oka; do miejsc, w których za każdym rogiem czai się tajemnica. Zapraszamy do Miasta Nigredo.

Iwona Czapla

Strona Krzysztofa Chalika:

www.kchalik.com

Strona Roberta Letkiewicza:

www.robertletkiewicz.com

Strona informacyjna o wystawie:

<http://iwoxpik.blogspot.com/>



Gdański Klub Fantastyki jest patronem medialnym Wystawy

ZAPOWIEDZI WYDAWNICZE

Uzupełnienie września 2011

SŁUGA IMPERIUM (SERVANT OF THE EMPIRE) – RAYMOND E. FEIST, JANNY WURTS

Wydawca: Rebis. Data wydania: 13 września 2011 Wznowienie

MISJA (SABOTAGED) – MARGARET PETERSON HADDIX

Wydawca: Wydawnictwo Dolnośląskie. Data wydania: 14 września 2011

NIENAWIŚĆ (HATE LIST) – JENNIFER BROWN

Wydawca: Nasza Księgarnia. Data wydania: 14 września 2011

BLASK NOCY (WOLFSBANE) – ANDREA CREMER

Wydawca: Amber. Data wydania: 15 września 2011

DOM DERWISZY. DNI CYBERABADU (THE DERVISH HOUSE.

CYBERABAD DAYS) – IAN MCDONALD

Wydawca: MAG. Data wydania: 15 września 2011

ROBOKALIPSA (ROBOPOCALYPSE) – DANIEL H WILSON

Wydawca: Znak. Data wydania: 19 września 2011

ERA EMPIREUM (THE EMPYREAN AGE) – TONY GONZALES

Wydawca: Zysk i S-ka. Data wydania: 20 września 2011

WICHRY ARCHIPELAGU (THE WINDS OF KHALAKOVO) – BRADLEY P. BEAULIEU

Wydawca: Prószyński i S-ka. Data wydania: 20 września 2011

WALKA ŚWIATŁA I MROKU O PERCY PARKER (THE DARKLY LUMINOUS FIGHT FOR

PERSEPHONE PARKER) – LEANNA REENE HIEBER

Wydawca: Amber. Data wydania: 20 września 2011

DEMONY. POKUSA (PERSONAL DEMONS) – LISA DESROCHERS

Wydawca: Wydawnictwo Dolnośląskie. Data wydania: 21 września 2011

DOTYK MARTWYCH (A TOUCH OF DEAD) – CHARLAINE HARRIS

Wydawca: Nowa Proza. Data wydania: 21 września 2011

MROCZNY SZEPT (THE DARKEST WHISPER) – GENA SHOWALTER

Wydawca: Mira. Data wydania: 21 września 2011

POMIĘDZY (HEREAFTER) – TARA HUDSON

Wydawca: Jaguar. Data wydania: 21 września 2011

SMOCZA KREW (DRAGONS BLOOD) – TODD MCCAFFREY

Wydawca: Książnica. Data wydania: 21 września 2011

WILKEN. CZAS ZŁEGO WILKA (BAD WOLF RISING) – DI TOFT

Wydawca: Bukowy Las. Data wydania: 21 września 2011

W PÓŁ DROGI DO GROBU (HALFWAY TO THE GRAVE) – JEANIENE FROST

Wydawca: MAG. Data wydania: 21 września 2011

NIEŚWIADOMY MAG (THE INNOCENT MAGE) – KAREN MILLER

Wydawca: Galeria Książki. Data wydania: 22 września 2011

THORGAL. DZIECKO Z GWIAZD (L'ENFANT DES ÉTOILES)

– AMÉLIE SARN

Wydawca: Egmont. Data wydania: 26 września 2011

HEREZJĄ NAZNACZENI (BY HERESIES DISTRESSED)

– DAVID WEBER

Wydawca: Rebis. Data wydania: 27 września 2011

PORWANA W MROK (DARKNESS FALLS) – CATE TIERNAN

Wydawca: Amber. Data wydania: 27 września 2011

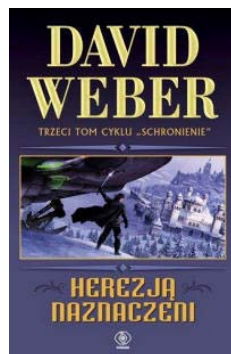
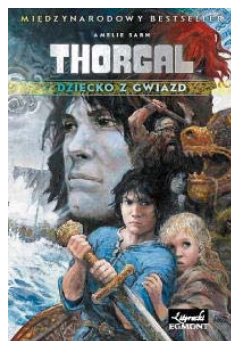
WICHRY DIUNY (THE WINDS OF DUNE) – BRIAN HERBERT,

KEVIN J. ANDERSON

Wydawca: Rebis. Data wydania: 27 września 2011

JA, ANIELICA – KATARZYNA BERENIKA MISZCZUK

Wydawca: W.A.B. Data wydania: 28 września 2011



WYSPA PRZEZNACZENIA (L'ÎLE DU DESTIN) – PIERRE BOTTERO

Wydawca: W.A.B. Data wydania: 28 września 2011

ATLAS ŚRÓDZIEMIA (THE ATLAS OF MIDDLE EARTH)

– KAREN WYNN FONSTAD

Wydawca: Amber. Data wydania: 29 września 2011

KRÓLOWA CIERNI (THORN QUEEN) – RICHELLE MEAD

Wydawca: Amber. Data wydania: 29 września 2011

BOŻA INWAZJA (DIVINE INVASION) – PHILIP K. DICK

Wydawca: Rebis. Data wydania: wrzesień 2011

OBSYDIANOWE SERCE. CZĘŚĆ 1 (DAS OBSIDIANHERZ)

– JU HONISCH

Wydawca: Fabryka Słów. Data wydania: wrzesień 2011

MROK (THE DARK) – MARIANNE CURLEY

Wydawca: Jaguar. Data wydania: wrzesień 2011

SERCE CIENIA (SHADOWHEART) – TAD WILLIAMS

Wydawca: Rebis. Data wydania: wrzesień 2011

SPOTKANIE Z RAMĄ (RENDEZVOUS WITH RAMA) – ARTHUR C. CLARKE

Wydawca: Vis-à-vis/Etiuda. Data wydania: wrzesień 2011 Wznowienie

DRAPIEŻCY (PREY) – GRAHAM MASTERTON

Wydawca: Albatros – Andrzej Kuryłowicz. Data wydania: III kwartał 2011

GRAHAM MASTERTON. OKO W OKO Z MISTRZEM HORRORU

– GRAHAM MASTERTON, ROBERT CICHOWLAS, PIOTR POCZTAREK

Wydawca: Albatros – Andrzej Kuryłowicz. Data wydania: III kwartał 2011

KOCIA KOŁYSKA (CAT'S CRADLE) – KURT VONNEGUT

Wydawca: Albatros – Andrzej Kuryłowicz. Data wydania: III kwartał 2011

NADZIEJA CZERWONA JAK ŚNIEG – ANDRZEJ W. SAWICKI

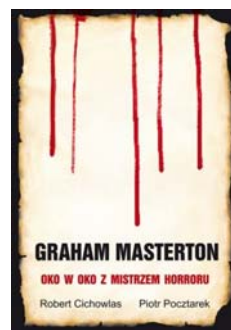
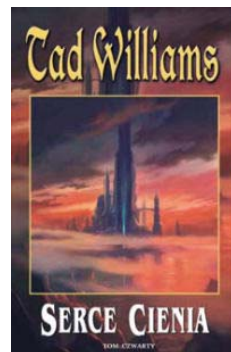
Wydawca: RUNA. Data wydania: III kwartał 2011

SENNE PAŁACE – SEBASTIAN UZNAŃSKI

Wydawca: Ifryt. Data wydania: III kwartał 2011

SZARY DIABEŁ (THE DEVIL IN GREY) – GRAHAM MASTERTON

Wydawca: Albatros – Andrzej Kuryłowicz. Data wydania: III kwartał 2011



Wstępnie w październiku 2011

ODYSEJA (ODYSSEY) – JACK MCDEVITT

Wydawca: Solaris. Data wydania: 3 października 2011

JEDNĄ DROGĄ W GROBIE (ONE FOOT IN THE GRAVE)

– JEANIENE FROST

Wydawca: MAG. Data wydania: 5 października 2011

KRÓLESTWO CIENI (THE CROWDED SHADOWS) – CELINE KIERNAN

Wydawca: Wydawnictwo Dolnośląskie. Data wydania: 5 października 2011

KRWAWY SZALEŃSTWO (BLOODFEVER) – KAREN MARIE MONING

Wydawca: MAG. Data wydania: 5 października 2011

LŚNIĄCA PUŁAPKA (SHIMMER) – ALYSON NÔEL

Wydawca: Wydawnictwo Dolnośląskie. Data wydania: 5 października 2011

WŚRÓD UKRYTYCH. WŚRÓD OSZUSTÓW (AMONG THE HIDDEN. AMONG THE**IMPOSTORS) – MARGARET PETERSON HADDIX**

Wydawca: Jaguar. Data wydania: 6 października 2011

RAKIETOWE SZLAKI. TOM 3

Wydawca: Solaris. Data wydania: 11 października 2011

CESARZ NIHON-JA (THE EMPEROR OF NIHON-JA) – JOHN FLANAGAN

Wydawca: Jaguar. Data wydania: 19 października 2011

FRONT BURZOWY (STORM FRONT) – JIM BUTCHER

Wydawca: MAG. Data wydania: 19 października 2011



GORZEJ NIŻ MARTWY (FROM DEAD TO WORSE) – CHARLAINE HARRIS

Wydawca: MAG. Data wydania: 19 października 2011

TRON PIERŚCIENIA (THE RINGWORLD THRONE) – LARRY NIVEN

Wydawca: Solaris. Data wydania: 19 października 2011

ZEMSTA CZAROWNICY (THE SPOOK'S APPRENTICE) – JOSEPH DELANEY

Wydawca: Jaguar. Data wydania: 19 października 2011

NOCNY PATROL (НОЧНОЙ ДОЗОР) – SIERGIEJ ŁUKJANIENKO

Wydawca: Nowa Proza. Data wydania: 28 października 2011

ALKALOID – ALEKSANDER GŁOWACKI

Wydawca: Powergraph. Data wydania: październik 2011

ANTOLOGIA OPOWIADAŃ HARD SF

Wydawca: Powergraph. Data wydania: październik 2011

ANTOLOGIA OPOWIADAŃ O BOHATERZE HEROICZNYM I SUPERBOHATERZE

Wydawca: Powergraph. Data wydania: październik 2011

BACKLASH – AARON ALLSTON

Wydawca: Amber. Data wydania: październik 2011

BEZSENNOŚĆ ANIOŁA – L.H. ZELMAN

Wydawca: Nasza Księgarnia. Data wydania: październik 2011

CIEŃ ŚWIATŁA (DARKLIGHT) – LESLEY LIVINGSTON

Wydawca: Jaguar. Data wydania: październik 2011

CÓRKI KSIĘZYCA. TOM 3 (THE SACRIFICE. THE LOST ONE)

– LYNNE EWING

Wydawca: Jaguar. Data wydania: październik 2011

CZERWONA GORAĆZKA – ANDRZEJ PILIPIUK

Wydawca: Fabryka Słów. Data wydania: październik 2011

FARAON WAMPIRÓW – KONRAD T. LEWANDOWSKI,**BOLESŁAW PRUS**

Wydawca: Wydawnictwo RM. Data wydania: październik 2011

HALLOWEEN

Wydawca: Oficynka. Data wydania: październik 2011

MORSKA STRAŻ (THE SEA WATCH) – ADRIAN TCHAIKOVSKY

Wydawca: RebisData wydania: październik 2011

NEVERMORE. KRUK (NEVERMORE) – KELLY CREAGH

Wydawca: JaguarData wydania: październik 2011

NIEBO ZE STALI. OPowieści z MEEKHAŃSKIEGO POGRANICZA – ROBERT M. WEGNER

Wydawca: Powergraph. Data wydania: październik 2011

RÓD ATRYDÓW (HOUSE ATREIDES) – BRIAN HERBERT, KEVIN J. ANDERSON

Wydawca: Rebis. Data wydania: październik 2011

ŚWIĄTYNIA – JAKUB ŻULCZYK

Wydawca: Nasza Księgarnia. Data wydania: październik 2011

THEFT OF SWORDS – MICHAEL J. SULLIVAN

Wydawca: Prószyński i S-ka. Data wydania: październik 2011

THE PARIS WIFE – PAULA MCLAIN

Wydawca: Bukowy Las. Data wydania: październik 2011

TO CIAŁO, MICHAELA CHANDLERA – HOWARD E. GIBSON

Wydawca: Paperback. Data wydania: październik 2011

WIDMA – ŁUKASZ ORBITOWSKI

Wydawca: Wydawnictwo Literackie. Data wydania: październik 2011

WILKOŁAK. IGRZYSKA DEMONÓW (DEMON GAMES) – STEVE FEASEY

Wydawca: Nasza Księgarnia. Data wydania: październik 2011

W KRÓLESTWIE SŁOŃCA. TOM 1 (IN THE COURTS OF THE SUN) – BRIAN D'AMATO

Wydawca: Fabryka SłówData wydania: październik 2011

ZAKON KRAŃCA ŚWIATA. TOM II – MAJA LIDIA KOSSAKOWSKA

Wydawca: Fabryka Słów. Data wydania: październik 2011



NIUSY

OBSYPANI „ZAJDLAMI”

Anna Kańtoch w kategorii opowiadanie (za *Duchy w maszynach*; notabene to trzeci „Zajdel” w jej karierze), Jacek Dukaj w kategorii powieść (za *Król Bólu i pasikonik*; pisarza uhonorowano tą nagrodą już po raz szósty). Obojgu Laureatom serdecznie gratulujemy!

GKF

JUBILEUSZ ŚKF

Uroczyste obchody XXX-lecia Śląskiego Klubu Fantastyki, najdłużej istniejącego klubu fantastyki w Polsce, odbędą się w Katowicach (Miejski Dom Kultury Koszutka) w dniach 1-2 października 2011 roku. Starszym Koleżankom i Kolegom szczerze gratulujemy!

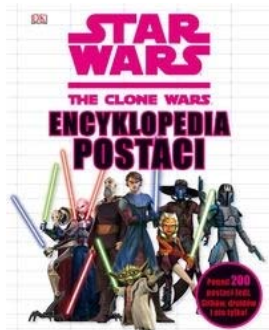
GKF



KOSMICZNA GRATKA DLA FILATELISTÓW

W gdańskim Muzeum Poczty Polskiej, obok historycznej placówki pocztowej, do końca września trwa wystawa filatelistyczna „Heweliusz 400. Astronomia i kosmos na znaczkach pocztowych”.

jpp



GRATKA DLA NAJZAGORZALSZYCH FANÓW GWIEZDNEJ SAGI

...to bogato ilustrowana encyklopedia postaci *Star Wars* – głównie z animowanego serialu o Wojnach Klonów.

wg: www.gildia.pl

DWIE DEKADY INTERNETU W POLSCE

W sierpniu 1991 r. do Centrum Komputerowego Uniwersytetu w Kopenhadze dotarł e-mail nadany z Wydziału Fizyki Uniwersytetu Warszawskiego. Pierwsze komputery zostały podłączone do Sieci w grudniu tegoż roku.

wg: www.metro.pl

PRASTARA I ZADZIWIAJĄCA

Zespół europejskich astronomów, za pomocą Bardzo Dużego Teleskopu VLT, odkrył w Drodze Mlecznej gwiazdę, która – według teorii – w ogóle nie powinna powstać. Składa się ona bowiem właściwie wyłącznie z wodoru i helu, a prawie w ogóle nie zawiera litu – co jest zaskakujące w przypadku obiektu sprzed około 13 mld lat (wtedy powstały te trzy pierwsze pierwiastki).

wg: www.onet.pl

MUSICALOWY SHREK

Ta licencyjna superprodukcja to najnowszy – i chyba najdroższy oraz najbardziej skomplikowany inscenizacyjnie – hit, jaki przygotował gdyński Teatr Muzyczny.

wg: www.emetro.pl

POWRÓT ŁOWCÓW ANDROIDÓW?

Niedawno Alcon Entertainment zdobyło prawa do nakręcenia zarówno sequeli, jak i prequeli *Blade Runnera*. Remake'u nie będzie, gdyż w umowie kupna praw autorskich istnieje klauzula zakazująca jego nakręcenia (ciekawe, jak potraktować by się dało nie remake filmu Scotta, ale nową ekranizację powieści Dicka? [przyp. „Info“]). Wątpliwe, by w tych produkcjach pojawił się Harrison Ford. Nie wiadomo też, czy owe dokrętki przyjmą formę filmu kinowego, czy serialu telewizyjnego.

wg: www.gildia.pl

NOWA KOBIETA KOT

W trzeciej części Nolanowskiego *Mrocznego Rycerza* Anne Hathaway wystąpi w roli Seliny Kyle – bardziej znanej jako Catwoman.

wg: www.gildia.pl



KOMIKSOWY DOKUMENT NABIERA CIAŁA

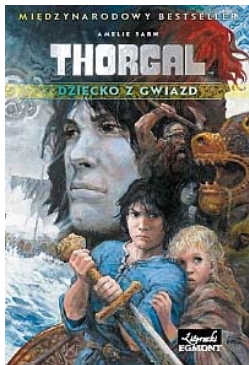
W Sieci można już obejrzeć trailer filmu dokumentalnego *W ostatniej chwili* – o komiksie w PRL.

wg: www.gildia.pl

ORGANIZMOWY MATUZALEM

Na to miano zasługuje bakteria ukryta w skamielinach na najstarszej plaży Australii. Te drobnoustroje pamiętają czasy, gdy w ziemskiej atmosferze nie zawierała tlenu – ich metabolizm opiera się na związkach siarki. Dr David Wacey z University of Western Australia twierdzi, iż wstępne analizy sugerują, że odkryte przez jego zespół bakterie liczą sobie 3,43 miliarda lat.

wg: www.odkrywcy.pl



PO KSIĄŻKACH POSTFILMÓWKACH – KSIĄŻKA POSTKOMIKSÓWKA

Pod koniec września Egmont wprowadzi do księgarni powieść *Thorgal – Dziecko z gwiazd*, będącą literacką adaptacją komiksowego scenariusza Jeana Van Hamme'a.

wg: www.gildia.pl

BLU-RAY PONIÓSŁ DVD – TERAZ SAM ZOSTANIE PONIESIONY

Na standardowej płycie DVD można zapisać ponad 4 GB danych; jednowarstwowa płyta blu-ray mieści 25 GB. Tymczasem naukowcy z laboratorium GE Global Research Center opracowali technologię mikroholograficzną, dzięki której na nośniku zbliżonym do DVD można zapisać nawet 500 GB danych.

wg: www.interia.pl

JESZCZE Z OKAZJI CZTERECHSETNEJ ROCZNICY URODZIN HEWELIUSZA

Astronaucci z Międzynarodowej Stacji Kosmicznej przekazali specjalne pozdrowienia dla mieszkańców Gdańska oraz gdańskich studentów; w tym mieście powstaje też najdokładniejszy zegar świata – regulowany pulsarowymi impulsami.

jpp

OBSADA NOWEJ FILMOWEJ WERSJI PRZYGÓD CZŁOWIEKA ZE STALI

Henry Cavill zagra Supermana w najnowszym filmie Zacka Snydera *Man of Steel*. Obok Cavilla – wystąpią m.in. Laurence Fishburne (Perry White), Amy Adams (Lois Lane), Diane Lane (Martha Kent), Kevin Costner (Jonathan Kent), Michael Shannon (Generał Zod), Antje Traue (Faora), Russel Crowe (Jor-El), Julia Ormond (Lara Lor-Van), Christopher Meloni (pułkownik Hardy) i Harry Lennix (generał Swanwick). Premiera filmu przewidywana jest na lato 2013 roku.

wg: www.gildia.pl

KOLEJNY HIT MŁODEJ POLSKIEJ ANIMACJI

Paths of Hate, krótkometrażowy film Damiana Nenowa ze studia Platige Image, to utrzymana w komiksowej stylistyce opowieść o walce dwóch pilotów myśliwców. Ta dziesięciominutowa produkcja zdobyła już kilka nagród (m.in. na Międzynarodowym Festiwalu Animacji w Annecy i podczas konwentu fanów komiksu w San Diego oraz podczas festiwalu towarzyszącemu największej branżowej konferencji Siggraph w Vancouver) – i być może zdobędzie statuetkę, którą niegdyś otrzymała *Tango*, a która umknęła *Katedrze*.

wg: www.aqq.com.pl i www.metro.pl



TWÓRCY PIOTRUSIA I WILKA – TYM RAZEM O CHOPINIE



Powstający w Łodzi animowany film *Latająca maszyna* opowiadać będzie – z wykorzystaniem muzyki Chopina oraz stereofonii i stereoskopii – o podróży śladami tego wielkiego kompozytora. Polska premiera przewidziana jest na 23 września.

wg: www.gazeta.pl

POLSKI KOMIKS NA JAPOŃSKIEJ WYSTAWIE

W dniach 3-15 sierpnia, w tokijskiej galerii, miała miejsce wystawa polskiego komiksu. Została ona zrealizowana przez organizatorów Międzynarodowego Festiwalu Komiksu i Gier, w ramach imprez związanych z polską prezydencją w Radzie Unii Europejskiej. W Kraju Kwitnącej Wiśni zostały pokazane prace m.in. Christy, Chmielewskiego, Baranowskiego, Pawel, Kasprzaka, Polcha, Truścińskiego, Gawronkiewicza, Kowalskiego, Leśniaka, Kuniora, Tomaszewskiego, Frąsia, Gosienieckiego, Rebelki, Śledzińskiego; z kilkoma rysownikami publiczność miała okazję spotkać się osobiście. Zostanie również wydany katalog – po japońsku, angielsku i polsku.

wg: www.komiks.nast.pl



HAŁDA TRIASOWA

Fragmenty kości i tropy dinozaurów oraz fragmenty roślin znaleźli w hałdzie w Zawierciu doktoranci i studenci Wydziału Nauk o Ziemi UŚ. Hałda znajduje się w dzielnicy Markiszów – i okazała się jednym z najważniejszych stanowisk paleontologicznych w kraju (pierwszą kość odkryto już w 2009 r.); uniwersyteccy badacze liczą więc na dalsze odkrycia.

wg: www.onet.pl

PŁYTKA OBOK ALBUMÓW

Po wypożyczalniach – do sprzedaży trafiły wydania DVD i blu-ray filmu *Jeź Jerzy*.

wg: www.gildia.pl

LEMOWSKIE WIZJE NA EKRAŃ (Z RÓŻNYM SKUTKIEM) PRZENIESIONE

12 września minęła 90. rocznica urodzin Stanisława Lema; w marcu zaś upłynęło 5 lat od jego śmierci. Z okazji tych jubileuszy FilMOTEKA Narodowa postanowiła przypomnieć najświetniejsze filmowe adaptacje powieści arcybiskupa polskiej fantastyki. Kino Iluzjon, w trwającym w dniach 12-19 września przeglądzie, zaprezentowało dziewięć ekranizacji – kinowych i telewizyjnych, polskich i zagranicznych – utworów pisarza.

wg: www.gildia.pl

NAJWIĘKSZA PLANETA POD LUPĄ

NASA rozpoczyna misję Juno, która ma na celu dokładne zbadanie Jowisza pod kątem obecności wody oraz stałego jądra. Sonda, korzystając z paneli słonecznych, dotrze w okolice gazowego olbrzyma za pięć lat; po czym pozostanie przez rok na jego orbicie, 32 razy okrążając planetę. Jeśli badanie potwierdzi wcześniejsze obserwacje Galileo o bardzo małej ilości wody w atmosferze Jowisza – naukowcy będą zmuszeni do ponownego sformułowania teorii objaśniającej początki Układu Słonecznego.

wg: www.odkrywcy.pl



Z OKAZJI ROKU MARII SKŁODOWSKIEJ-CURIE

W dniach od 28 sierpnia do 1 września Polskie Towarzystwo Badań Radiacyjnych zorganizowało w Warszawie 14. Międzynarodowy Kongres o tej tematyce; to światowej rangi wydarzenie naukowe pierwszy raz odbywało się w Polsce.

wg: www.icrr2011.org



POTRÓJNY WAWRZYN DLA GRY „WIEDŹMIN 2”

W Kolonii, przy okazji targów Gamescom 2011, ogłoszono zwycięzców prestiżowego konkursu European Games Awards, koncentrującego się na wybitnych osiągnięciach europejskiego przemysłu gier. Firma CD Projekt RED poinformowała, że „Wiedźmin 2” wygrał w trzech kategoriach: Najlepszy Design, Najlepszy Świat Gry i Najlepsza Edycja Specjalna.

wg: www.interia.pl

ŚMIECIOWY PROBLEM (WOKÓŁ)GLOBALNY

NASA potrzebuje strategicznego planu, który pozwoliłby zmniejszyć ryzyko związane ze zużytymi częściami rakiet, nieczynnymi satelitami i tysiącami innych odpadków, jakie dryfują w przestrzeni kosmicznej wokół naszej planety z prędkością 28,164 km na godzinę – oznajmili eksperci z amerykańskiej rady badawczej National Research Council (NRC). Kosmiczny złom zagraża w sumie ok. tysiącowi czynnych satelitów na orbicie Ziemi.

wg: www.onet.pl

STARWARSOWA WALUTA

Najważniejsze postacie i pojazdy z gwiazdnej sagi George'a Lucasa znajdują się od jesieni na posrebrzanych monetach emitowanych na wyspie Niue (Pacyfik).

wg: www.gildia.pl



Okruchy Ogana

Korespondencja nr 23

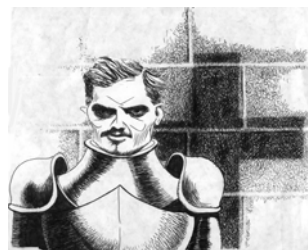
Wiosna w kwartalnikach

Zanim zdążyłem nadrobić wiosenne zaległości w lekturze kwartalników, ukazał się letni numer „Czasu Fantastyki”, niedługo zapewne pojawi się też następny numer „F&SF. Edycja polska” – spieszę więc z garścią refleksji na temat przeczytanych czasopism.

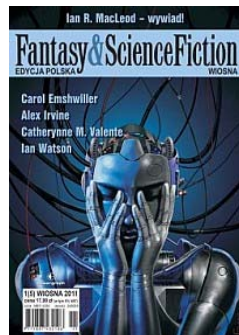
Wiosna to radosny czas wzrostu i nadziei na piękne lato. Tegoroczna pora ciepła sprawiła nam jednak psikusa, a selekcjonerzy fantastycznych kwartalników jakby to przeczuwali (z perspektywy minionego lata widać to boleśnie wyraźnie). Oba tytuły sprawiają czytelnikowi srogi zawód, zwłaszcza że poprzednie wydania należały do udanych. Gdybym miał wskazać najlepsze teksty numerów, w obu wypadkach byłyby to wywiady.

I tak numer 2 (27) 2011 „Czasu Fantastyki” przynosi rozmowę z niezmordowanym popularyzatorem fantastyki z Olsztyna Wojtkiem Sedeńką. To zdecydowanie najciekawszy materiał w piśmie i nie będę go streszczać, bo każdy zrzeszony fan powinien go przeczytać osobiście. Za to kolejny odcinek dyskusji o relacjach między mitem a fantastyką (Paweł Majka, *Niepokój w koloniach, mit a fantastyka*) wynudził mnie tak, że nie zapamiętałem z tego szkicu ani jednej myśli godnej powtórzenia na tych łamach. Interesująca, choć na pewno nieporównywalna, była za to lektura dwóch tekstów poświęconych Funky'emu Kowalowi (Kowalowa była także – po raz kolejny – okładka numeru), które ewidentnie nakręcają koniunkturę na film (sam jestem go ciekaw). No i to właściwie wszystko – na sześćdziesiąt kilka stron to trochę mało.

Wiosenny numer „Fantasy & Science Fiction. Edycja polska” nosił numer 1 (5) 2011 (o dziwo: informacja o tym pojawiła się i na okładce, i na grzbiecie, zatem nawigacja po kolejnych numerach pisma stanie się wreszcie łatwiejsza). Niestety, z dawną oczekiwaną przeze mnie zmianą edytorską okazała się jedyną osłodą przeciętności ziejącej z wiosennego wydania kwartalnika. Mam takie wrażenie, że pismo się jakoś nie może rozpedzić. Co nabierze wiatru w żagle (udany numer poprzedni), to zaraz ląduje na jakiejś mieliznie. Znowu pojawiają się utwory zupełnie niezwiązane



z fantastyką (*Zrobiłem to, Mieszkam z tobą*). *Drugie przekroczenie Styksu* MacLeoda jest perfidnym plagiatem *Zagadki nieśmiertelności* Tony'ego Scotta, ale pozbawionym wdzięku Catherine Deneuve; *Przenikliwość spojrzenia* Reeda zaś to opowiadanie *stricto* fanzinowe... Trochę lepiej wypada inspirowane obrazem z okładki *Szambala* Irvine'a, ale też dzieło Marka Evansa jest urokliwe (w ogóle trzeba przyznać, że okładki „F&SF” są bardzo mocną stroną pisma). Polski akcent w prozie, czyli opowiadanie Pawła Majki *Noc dla ślepych Władców*, to próba rodzimego realizmu magicznego (czyli w tym wypadku skrzyżowania fantasy, horroru i prozy o problemach nastolatków). Mnie to nie przekonuje, ale ja nawet klasycznego (iberoamerykańskiego) realizmu magicznego nie toleruję, więc nie jestem obiektywny. No, i na koniec opowiadania gwiazd numeru: Watson w *Jednej z jej dróg* dał niezły popis twardej fantastyki z jej klasycznymi elementami: międzygalaktyczna podróż, nowy umożliwiający ją napęd (kwantowy) oraz konsekwencje wykorzystania wynalazku, ale historia ta mnie nie powaliła, zaś ubarwienie jej jakimś teorjiami deifikującymi gatunek ludzki są nieporozumieniem. Natomiast *Subtelna architektura* Valente jest przewrotnym *prequelem* pewnej znanej bajki, napisanym z wdziękiem i nawet nieprzesłodzonym; co z tego, skoro na hit numeru na pewno się nie nadaje. Mamy zatem ledwie dwa teksty ponadprzeciętne i co najmniej trzy słabe (lub bardzo słabe) – trudno zatem mówić o udanym doborze prozy.



Lepiej wypada część publicystyczna, chociaż brakuje mi – jako stałego elementu – jakiegoś sążnistego przekrojowego eseju (ostatecznie „F&SF” to kwartalnik). Przywykłem już do misji pisma – polegającej na zacieraniu gdzie się tylko da gatunkowych granic i takiego przepytywania twórców, by potwierdzali tezy redaktorów. Może dlatego wywiady z MacLeodem i Valente nazwałem na wstępie najlepszymi tekstami numeru. Zwłaszcza metafora Valente o stosunku współczesnej fantasy do Tolkiena, w której dziadek (JRRT) jest bardzo fajny, ale nie można całe życie chodzić z nim na spacerzy za rączkę, do mnie przemawia. Cóż z tego,

skoro jako czytelnik wolę takie utwory, które powstają bliżej ścieżek wydeptanych przez tego staruszka – niż wywiedzionych z miejsc, do których udały się dziś jego niesforne wnuki. Pozostając w konwencji zaproponowanej przez Catherine: nie zawsze mam pewność, czy ci, którzy nie chcą już chodzić z dziadkiem na spacerzy, są wystarczająco dojrzały, by robić to samodzielnie. Być może nawet są w odpowiednim wieku, ale dorosłość w naszym zinfantylizowanym świecie coraz rzadziej kroczy ramię w ramię z dojrzałością. Człowiek się rodzi dzieckiem, a coraz częściej dzieckiem umiera...

Letnie remanenty

W lipcu niemałego rozgłosu nabrała sprawa nadania jednemu z nowych wiaduktów budowanych w okolicy trójmiejskiej obwodnicy na terenie Gdańska imienia Johna Ronalda Reuela Tolkiena. Nic by w tym nie było niepokojącego – chociaż tego typu obiektom drogowym rzadko nadaje się nazwy, ale od czegoś są narodziny nowej świeckiej tradycji – gdyby nie motywacja przyswiecająca pomysłodawcom tej inicjatywy. Otóż charakterystycznym elementem tej konstrukcji jest zwieńczenie pylonu w kształcie bursztynowej żrenicy, które niektórym kojarzy się z... okiem Saurona. Jakimiż to pokrętnymi drogami potrafi kluczyć ludzka wyobraźnia, by od Saurona dotrzeć do Tolkiena... Dla mnie w każdym bądź razie jest wysoce niestosowne, by występować o nadanie czemuś imienia Tolkiena ze względu na podobieństwo tego czegoś do Saurona. A swoją drogą – Gdańsk mógłby rzeczywiście jakoś uczcić Tolkiena, w końcu działa w tym mieście Klub Fantastyki... ANGMAR.



* * *

Po raz kolejny muszę wrócić do katastrofy smoleńskiej, bo jest to sprawa ważna, a mój rówieśnik – gdański poeta Wojciech Wencel – uważa ją nawet za wydarzenie, które było najbardziej dramatyczne dla naszego pokolenia

(w stanie wojennym byliśmy dziećmi, a na śmierć Jana Pawła II zostaliśmy przez niego samego dosyć dobrze przygotowani – mówiło się zresztą o umieraniu papieża-Polaka jak o re-kolekcjach). Raport ministra Millera potwierdził, że sytuacja w naszej armii (a zwłaszcza lotnictwie wojskowym) była taka, że kwestią pozostawało nie to, czy do katastrofy musiało dojść – tylko: kiedy się ona wydarzy. Jeśli dodać do tego sposób, w jaki państwowe wizyty się w naszym kraju organizuje (wyprawa Tuska do Katynia była ponoć przygotowana jeszcze gorzej niż ta z udziałem S.P. prezydenta Kaczyńskiego), to stwierdzenie z głośnej (i perfidnie zmanipulowanej) homilii odsądzonego od czci i wiary księdza Suchego z Przemysła („To się mogło wydarzyć w środę [7.04.2010], zdarzyło się wczoraj [10.04.2010]”) było jak najbardziej stosowne i okazało się bolesnie prawdziwe (jakoś nie słyszałem, żeby ktoś z rzucających wówczas w przemyskiego kapłana błotem miał odważyć go teraz przeprosić!).

Gdyby nie niestosowność tego typu spekulacji (z jednej strony uczucia rodzin ofiar, z drugiej walka polityczna), pewnie już niedługo moglibyśmy czytać książki o tym, co by się działo, gdyby to inny państwowy samolot nie doleciał na lotnisko w Smoleńsku. W każdym bądź razie to kuszący temat dla opowieści z gatunku *political fiction* czy historii alternatywnej (w sam raz dla serii NCK „Zwrotnice czasu”) – i pewnie się kiedyś takich doczekamy. Byleby tylko nie były one elementem jakichś przyszłych partyjnych parachunków...

Wasz wielkokacki korespondent

Pariasi i ludzie



W roku 1952 nastąpił przełom w medycynie. Wszystkie choroby stały się uleczone przy pomocy jednego, uniwersalnego remedium: przeszczepiania organów od dawców – klonów stworzonych w tym właśnie celu.

Oczywiście nie w naszym, tylko w alternatywnym świecie, powołanym do życia najpierw w powieści Kazuo Ishiguro *Nie opuszczaj mnie* (*Never Let Me Go*), a potem w filmie pod tym samym tytułem.

Autor książki jest dobrze znany w Polsce – wszystkie jego utwory są tłumaczone i wydawane praktycznie na bieżąco. Urodził się w Japonii, lecz od piątego roku życia mieszka w Anglii, co z pewnością pozwala mu widzieć świat stereoskopowo, z perspektywy dwóch całkowicie różnych kultur. Wróć do tego interesującego faktu nieco później.

Można byłoby sądzić, że klony będą hodowane metodą przemysłową, jak by było na rzeź (rozwiązanie znane z innych fantazji na ten temat). Tymczasem Hailsham, gdzie zawiązuje się akcja powieści i filmu, przypomina raczej szkołę z internatem dla niezamożnych, gdzie dzieci traktuje się po ludzku, dając im wykształcenie i zachęcając do twórczości artystycznej. Ba, mają nawet skrzynki z osobistymi drobiazgami, zakupionymi na organizowanych przez kierownictwo wyprzedażach. Jednak z książki dowiadujemy się, że jest to ośrodek elitarny, stworzony przez zapaleńców, pragnących wpoić rodakom pewne standardy moralne. Do czasu, albowiem po latach Hailsham bankrutuje i idzie pod młotek.

Tymi dobrymi duszami są przede wszystkim kierowniczka ośrodka panna Emily (Charlotte Rampling) oraz tajemnicza Madame, kompletująca z prac wychowanków niemniej tajemniczą Galerię. O szczerości ich intencji świadczy choćby to, że pannę Emily widzimy pod koniec książki i filmu na wózku inwalidzkim, co w tym świecie jest wielce znaczącym faktem. I cóż te anioły dobroci odczuwają wobec naszych klonów? Otóż litość z domieszką wstrętu; skrywanego, rzecz jasna, skrupulatnie pod powłoką dobrych manier. A inni, zwykli ludzie? No cóż, starają się po prostu nie zauważać problemu, wstydliwie zepchniętego przez nich na margines. Zresztą wszyscy wiedzą, że klony nie mają duszy, podobnie jak inne kłopotliwe populacje w ludzkiej historii (np. Murzyni). A wspomniana wcześniej Galeria powstała przede wszystkim po to, by nieśmiało zmierzyć się z tym przekonaniem. A może jednak mają?

W takim świecie dorasta trójka głównych bohaterów: Kathy, Tommy i Ruth. Jak łatwo zgadnąć – będzie to z czasem trójkąt uczuciowy: dwójka najlepszych przyjaciół Kathy stworzy związek erotyczny, chociaż Ruth widzi, że Tommy i Kathy są dla siebie stworzeni. No, ale to osobowość dominująca, więc inaczej nie potrafi, a łagodna Kathy nie będzie im przeszkadzać. Nawiasem mówiąc, wychowankowie są zachęcani do seksu (bo to zdrowe, a klony nie mogą mieć dzieci), choć z drugiej strony personel przejawia zabawną ambiwalencję, przełamując tabu z mieszanymi uczuciami (tylko w powieści).

Po osiągnięciu dojrzałości nasza trójka zostaje skierowana do byłej farmy zwanej *The Cottages* (co w filmie przetłumaczono jako *Wioska*, a w książce bardziej swojsko – *Chałupy*), gdzie spotykają wychowanków innych ośrodków. Młode klony rządzą się tam same i mogą np. zwiedzać samochodem Anglię, co na poprzednim etapie było nie do pomyślenia. Oczekuje się od nich, że podejmą ochotniczo pracę opiekuna dawców, a później będą otrzymywać wezwania do stawienia się na pobranie organów. Odbywa się to w specjalnych szpitalach, gdzie klonom zapewnia się rehabilitację i pomoc opiekuna. Do czasu, bo po czwartej donacji (przypadającej przed trzydziestką) tnie się już bez opamiętania, więc większość dawców wołałaby tego nie dożyć.

Ten koszmar jawi się Europejczykowi jako absurdalny – dlaczego klony nie protestują, nie buntują się, nie uciekają? Dlaczego potulnie stawiają się na kolejne donacje? W jednym z dodatków na płycie DVD Ishiguro mówi, że jest to najczęściej zadawane mu pytanie. I wyjaśnia, że ta sytuacja jest przenośnią. Że człowiek jest śmiertelny i nic nie może na to poradzić. Że nie ma dokąd uciec i pozostaje mu tylko przyjąć swój człowieczy los z godnością. Myślę jednak, że nie tylko o to chodzi, gdyż wymowa powieści bardzo dobrze koresponduje z japońskim sposobem myślenia. Jak wiadomo – zaledwie półtora wieku temu Japonia była krajem feudalnym, zamkniętym dla obcych. Późniejsze zmiany (po tzw. przewrocie Meiji) były wręcz błyskawiczne, ale cóż: ludzka mentalność zmienia się najwolniej. Dziś feudałem jest szef korporacji, a jej pracownicy wasalami. Przeciętny Japończyk nigdy nie zmienia firmy, z którą się związał – jest to bardzo źle oceniane, jako rodzaj zdrady bądź niełojalności. Tym samym japońskie społeczeństwo jest dobrze uporządkowane: każdy zna swoje miejsce i swą rolę społeczną, a punktem honoru jest rzetelne wypełnianie obowiązków. Tak właśnie zachowują się klony w książce i filmie – są dumne z tego, że są dobrymi dawcami bądź opiekunami (a wcześniej uczniami). Boją się śmierci i cierpienia, ale na pewno poddadzą się seppuku, jeśli tego się od nich oczekuje.

Inną ciekawą sprawą jest to, że w książce ani w filmie w ogóle nie występują biorcy, nie widać więc ich związku z dawcami. Przyznam, że podświadomie oczekiwałem klonów na indywidualne zamówienie, choćby z uwagi na barierę immunologiczną. Tymczasem wygląda na to, że w tym świecie klonuje się kogo popadnie – najpewniej zaś osoby z marginesu społecznego, i to pod przymusem (bo szanujący się człowiek nie dałby sobie tego zrobić – jak sądzą same klony).

Opowieść Ishiguro jest (podobnie jak film) bardzo ściszona i kameralna. Nastroj jest w niej budowany przy pomocy codziennych drobiazgów i małych problemów – te wielkie mającą w tle, choć nie pozwalają o sobie zapomnieć. To bardzo smutna książka i bardzo smutny film, jednak w pewien sposób są one krzepiące: mówią o wartości każdej przeżytej chwili i o tym, że mimo wszystko wspaniale jest żyć, nawet z toporem nad głową.

Zupełnie inaczej stawia sprawę wcześniejszy film o klonowaniu, *Wyspa (The Island)* Michaela Baya. Tu amerykańskie klony zbuntują się bez wątpienia, jeśli tylko skojarzą, o co naprawdę chodzi. Dlatego podsuwa się im fałszywy obraz świata, utrzymując je w niewiedzy co do ich rzeczywistej kondycji. Mówi się im mianowicie, że są ocalałymi z katastrofy ekologicznej, dlatego żyją pod ziemią, w ogromnym wojskowym bunkrze. Ich świat jest sterylną orwellowską antyutopią, gdzie dobrobyt jest reglamentowany podług wskazań monitoringu medycznego. W założeniu wszyscy mieli być kawałami mięsa w śpiączce, ale okazało się, że jest to niekorzystne dla zdrowia, więc po wstępnej indoktrynacji / hipnopedii wybudza się ich, ukrywając ten szczegół przed udziałowcami. To rzecz jasna doskonale prosperujący interes – klony ludzi, których na to stać, tworzone są na zamówienie, po ośrodku chodzą więc sobie kopie popularnych aktorów, sportowców czy polityków, w tym także prezydenta USA. Można też wykorzystać żeńskiego klona jako zastępczą matkę zamiast męczyć się samemu.

W tym klonowisku codziennie odbywa się fikcyjna loteria, w której główną (i jedyną) wygraną jest wyjazd na mityczną rajską Wyspę, ostatni nie skażony zakątek świata. Łatwo zgadnąć, że upragnione przez wszystkich zwycięstwo jest w istocie wyrokiem śmierci wykonywanym na górnym, medycznym poziomie. Tę szokującą prawdę odkrywa przypadkowo ciekawski klon Lincoln Sześć-Echo, główny bohater filmu grany przez Evana McGregora. Nawiasem mówiąc, Lincoln to nazwisko biorcy, 6 jest kodem Kalifornii, a Echo kolejnego rocznika. Jego przyjaciółka, Jordan Dwa-Delta (w tej roli Scarlett Johansson) wygrała właśnie loterię, nie ma więc czasu do stracenia. Lincoln porywa ją z pokoju w trakcie pakowania i zmusza do wspólnej ucieczki. Udaje im się wydostać na powierzchnię, zatem sytuacja staje się dla szefa ośrodka, Merricka (Sean Bean), wyjątkowo kłopotliwa. Wynajmuje on więc wyspecjalizowane komando, które ma wytropić i zlikwidować zbiegów. Na szczęście Lincoln ma kumpla pracującego w obsłudze, którego na dodatek udaje mu się odnaleźć w zewnętrznym świecie. W takich sytuacjach mówimy zwykle *więcej szczęścia niż rozumu*, chociaż to drugie też ma tu spory udział. Ów kumpel z początku rwie włosy z głowy, ale potem daje im pieniądze i pakuje do pociągu do LA. Tam odnajdują oryginał naszego bohatera, Toma Lincolna, lecz ten ich cichcem wydaje. I tu dopiero się zaczyna. Kto

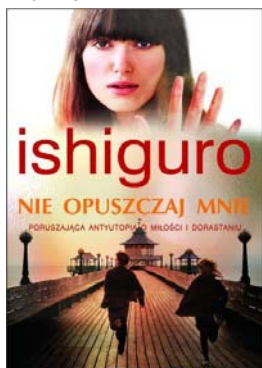
widział *Transformersów*, będzie wiedział, o co mi chodzi, lecz pewnie nie uwierzy, że dwójka zbiegów z komandem na karku potrafi dokonać bardziej spektakularnej demolki niż Autoboty i Decepticony pospołu. A jednak – Bay, Bay, spokojne LA!

Wyspa odniosła finansową porażkę, mimo że jest całkiem dobrym filmem, zwłaszcza gdy się go ocenia z perspektywy kina akcji. Jednak porównując ze sobą oba omówione obrazy odczuwamy coś w rodzaju zażenowania. Wychodzi bowiem na to, że przedstawianie widzowi problemu klonów nie z hukiem, lecz niespiesznie, w skupieniu, niesie z sobą o wiele większy ładunek dramatyzmu.

Andrzej Prószyński



P.S. Tytuł pierwszego filmu nawiązuje do ulubionej piosenki Kathy z kasyty Judy Bridgewater *Songs after Dark*, należącej do alternatywnego świata książki i filmu. Zawiera ona utwory: *Wanted*, *Dance With Me*, *Never Let Me Go*, *Moonlight Drive*, *Light Over The Hill* oraz *Crying Over You*. Spośród nich w naszym świecie istnieje tylko piosenka *Never Let Me Go*, w wykonaniu Jane Monheit (autor Luther Dixon). Można jej posłuchać w Internecie, na YouTube. Natomiast na okładce obok widnieje brytyjska aktorka Rae Baker, a w tle majaczy coś na kształt statuetki *Oscara*.



Kazuo Ishiguro, Nie opuszczaj mnie, Wyd. Albatros, Warszawa 2005-2011 (3 wydania) (*Never Let Me Go*, 2005)

Nie opuszczaj mnie (Never Let Me Go), USA – Wielka Brytania, 2010

ocena FilmWeb: 7,1, IMDb: 7,3

reżyseria: Mark Romanek, scenariusz: Alex Garland

muzyka: Rachel Portman, zdjęcia: Adam Kimmel

gatunek: melodramat, sf, czas trwania: 99 minut

Obsada: Carey Mulligan (Kathy), Andrew Garfield (Tommy), Keira Knightley (Ruth), Izzy Meikle-Small (młoda Kathy), Charlie Rowe (młody Tommy), Ella Purnell (młoda Ruth), Charlotte Rampling (panna Emily), Sally Hawkins (panna Lucy) oraz jako dwa klony z Wioski: Andrea Riseborough (Chrissie), Domhnall Gleeson (Rodney)

Wyspa (The Island), USA, 2005

ocena FilmWeb: 7,2, IMDb: 6,9

reżyseria: Michael Bay, scenariusz: Caspian Tredwell-Owen, Alex Kurtzman

muzyka: Steve Jablonsky, zdjęcia: Mauro Fiore, Maurice K. McGuire

gatunek: akcja, sf, czas trwania: 130 minut

Obsada: Ewan McGregor (Lincoln Sześć-Echo / Tom Lincoln), Scarlett Johansson (Jordan Dwa-Delta / Sarah Jordan), Djimon Hounsou (Albert Laurent, dowódca komanda), Sean Bean (Merrick), Steve Buscemi (McCord, kumpel Lincoln) oraz jako klony: Michael Clarke Duncan (Starkweather), Ethan Phillips (Jones Trzy-Echo), Brian Stepanek (Gandu Trzy-Echo)



PEWNIŃ JUŻ WSZYSCY (CHĘTNI) ZDAŻYLI OBEJRZEĆ

Tytuł: Harry Potter and the Deathly Hallows: Part 2 / Harry Potter i Insygnia Śmierci: część 2

Produkcja: USA, 2011

Gatunek: Czary-mary

Dyrekcja: David Yates

Za udział wzięli: Plejada znanych aktorów i wyrostki

O co chodzi: This is how the saga ends: not with a bang, but a whimper.

Jakie to jest: No dobra – od zarania Zakazanej Planety męczymy naszych czytelników frapującymi newsami dotyczącymi kolejnych odcinków przygód *Harry'ego Pottera*. Tak więc jak się powiedziało A, B, aż do Z – trzeba też powiedzieć Z, napisać ostatnią rekę i skończyć temat.

A zatem przed nami *Harry Potter and the Deathly Hallows Part 2*, prekursor genialnej w swej prostocie metody „jak zarobić dwa razy na tym samym filmie tnąc go na pół”. Jak może niektórzy pamiętają – na części pierwszej zasnąłem; ale nic nie szkodzi, bo przed obejrzeniem finału odświeżyłem ją sobie (np. dopiero teraz zobaczyłem fragment animowany), aby z pełną wiedzą przyswoić finał tej epicznej sagi. Niestety, od razu mogę powiedzieć, że saga zakończyła się nie walnięciem, a raczej po prostu wygaszeniem. Nie chodzi mi tu nawet o fakt, że końcowa konfrontacja nie odbywa się nad wulkanem (co samo w sobie jest karygodne), ale o kompletnie pozbawienie ostatniego aktu cyklu jakichkolwiek emocji.

Jak może pamiętamy – w poprzednim odcinku Voldemort, jeden z najbardziej idiotycznych nemesisów w historii popkultury (w wielu reckach załamywałem nad nim ręce, więc teraz już nie będę wchodził w szczegóły) i w dodatku bez kinola (jawna kpina z *LotRa*, który jak pamiętamy służył z wielkich sztucznych nosów doklejonych niemal każdemu aktorowi), zdobywa topowy artefakt w uniwersum *Pottera*, czyli różdżkę czegośtam. Zbrojny w ten gadżet udaje się ze swoimi poplecznikami zrobić wreszcie porządek z niepokornym Hogwartem. W toku różnych przygód do szkoły wraca też w końcu Harry Potter, obaj mają zatem okazję spotkać się i odbyć finałną konfrontację – a wszystko to w 3D.

Czy zobaczymy więc ostateczną wielką bitwę magiczną, na miarę potyczek Jedi/Sith z trailerów Old Republic? A waa! Zobaczymy jakieś dziwaczne paramilitarne wydarzenie wokół szkołozamku Hogwart, które – jak się później dowiedziałem od tych, którzy czytali książkę – było megabitwą. Chyba jednak kamera pana Yatesa w czasie tej bitwy była gdzieś indziej, a na ekranie pokazał on jedynie jakieś dziwaczne masowe podchody.

Całe obłączenie to seria incydentów i potyczek, w których bierze udział maks. 5 osób. Co prawda mamy scenę, gdzie rzesza anonimowych złych czarodziejów ubranych w szmaty biegnie ławą na zamek – przywodząc na myśl najlepsze sceny

z *X-Men 3* – ale nie kończy się to żadnym konkretnym zwarem. Wrażenie bitwy starają się budować oglądane z daleka zniszczenie boiska do Quidditcha (wreszcie) czy wysa-dzenie mostu. Jako bonus mamy gungańskie pole siłowe wokół obiektu, a także czarodziejskie katapulty burzące budowle na wzór Pól Pelennoru. Sama bitwa dzieli się na kilka ataków i kontrataków, z których każdy sprawia wrażenie marginalnej wy-cieczki, a nie jakiegoś zdecydowanego działania. Tym bardziej dziwią wplatanie pomiędzy nie sceny zniszczenia i umierających w lazarecie ofiar, bo nie za bardzo wiadomo, w jakich okolicznościach te straty zostały zadane. Podczas jednego z takich epizodów umiera jeden z rzekomo głównych bohaterów (tak, to był ten mega smaczek przed premierą ostatniej książki); aczkolwiek, że był to ktoś ważny i że jego śmierć była istotna, zorientowałem się dopiero pół filmu później.

No dobra, ale co jest w filmie poza warstwą militarną? Nie za wiele. Mamy bardzo ciekawy motyw posłuszeństwa różdżek, a zwłaszcza wspomnianej Głównej Różdżki. Nie będę wchodził w szczegóły, ale idiotyzmem dorównuje on mniej więcej wątkowi „prawa własności nieruchomości, do której musi być zaproszony wampir” z aktualnego sezonu *True Blood*. Jak wspominałem – ginie nieznany główny bohater, ale ci znani, poza Harrym, też nie mają za wiele do roboty. Hermiona i Ron wypowiadają w sumie mniej więcej tyle kwestii, co Arnold w *Terminatorze 1*, a i Harry wygłasza głównie komunały w kulminacyjnych momentach – zero normalnych dialogów.

Quest Harry'ego sprowadza się głównie do znalezienia wszystkich Horkruksów, coby osłabić Voldemorta i zwiększyć swoje szanse w ostatecznym pojedynku. Tempo musi mieć niezłe, bo zostało ich w sumie bodajże pięć, a przez ostatnie dwa filmy znalazł aż jeden. Szczęśliwym trafem finałowe Horkruksy są do znalezienia na terenie i w okolicach Hogwartu, co zapewnia naszej opowieści klasyczną jedność akcji, czasu i miejsca. Przy okazji ich poszukiwań mamy fajny motyw pomocnej pani duch nawiedzającej szkołę (która też chyba jest ważną postacią w całej sadze, ale sorry – nie wiedziałem tego oglądając).

Jeśli ktoś spodziewał się jakiegoś ultrapojedyunku pomiędzy Potterem a Voldemortem – może wyjść z kina nieco rozczarowany. Pojedynek ten, jak wszystkie inne konflikty w filmie, odbywa się na raty, z których ponadto żadna nie jest jakoś pasjonująca. Fajna jest tylko scena, jak latają wokół zamku tłućąc się w powietrzu – szkoda, że ciężko ją obejrzeć, bo dzieje się w nocy, a dzięki okularom 3D widzimy tylko, że jest jakiś ruch na ekranie. Przy tej okazji muszę złapać się za głowę, ile roboty ludzi od efektów poszło na marne przez ten kretyński trójwymiar – większość scen bitewnych w filmie ma charakter nocny lub zmierzchowy, dzięki czemu w okularach nie widać prawie nic. Z niecierpliwością odliczam dni, aż przekleństwo 3D wreszcie się Hollywoodowi znudzi.

Finał Sagi, oprócz zakończenia głównego wątku, powinien obfitować w inne spektakularne zamknięcia motywów drugoplanowych. Tutaj mamy np. taki motyw Snips'a (ziewanie, przewidywalny 10 lat wcześniej), czy Bellatrix Lestrange (trzeba być czujnym, bo można przepaść tę 5-sekundową scenę). Dziwacznie zaczyna się i kończy wątek rodzinny Malfoyów, który był dla mnie w 100% niezrozumiały. Generalnie film obfituje w sceny zrozumiałe tylko dla czytelników oryginału, jak np. znikający i pojawiający się Miecz Gryffindora – ale to już było w poprzednich *Potterach*. Na ekranie pojawia się też sporo pobocznych postaci, których poprzednio albo nie było w ogóle, albo dawno nie było, albo byli, ale nie wiedzieliśmy, że są ważni (jak ten poległy „główny bohater”). Pomaga to może trochę rozruszać akcję, ale jakiejś krytycznej różnicy nie stanowi.

Tak więc film, niestety, był słaby. Jako szeregowy *Potter* byłby jeszcze do przyjęcia, ale jako finał – w ogóle nie zagrał. Prostactwo fabularne (podobnie jak w części 1 – tak się dzieje, jak z jednej książki robisz dwa filmy) oraz zakończenie całej Wielkiej Tajemnicy stekiem klisz, przewidywalnych i ogranych motywów. To oczywiście spadek po literackim oryginale, ale Yates zrobił niewiele, aby to wszystko ufilmować. Niestety, cała wielka bitwa zrealizowana jest w duchu „jak sobie mały Jasio wyobraża bitwę czarodziejów”, bez śladu filmowego polotu i dojrzałej interpretacji,

choćby wizualnej – tak jakby po dekadzie seria, zamiast dojrzyć wróciła do poziomu bajki dla dzieci. W samym zamknięciu historii brak jakiegoś fajnego tragizmu czy znaczącej straty – a i fabuła gna na złamanie karku po prościutkim sznurku zdarzeń, by nagle się urwać.

Dla uczciwości – film ma swoje przebłyski! Po pierwsze świetna muza Depsłata przydaje nieco dramatyzmu tam, gdzie nie jest w stanie zrobić tego akcja. Po drugie, mamy kilka poprawnych scen detektywistyczno-przygodowych. Po trzecie Hermiona już nieco wyrosła i ciężko zrozumieć, dlaczego Harry wybiera tę drugą lebiegę, zwłaszcza że przez większość śmiertelnej bitwy ani razu nie interesuje się jej losem. Tak więc da się to obejrzeć – zwłaszcza jeśli, nauczeni doświadczeniem, nie spodziewamy się po *Potterze* zbyt wiele.

I to na tyle w temacie *HP* na ZP – chyba że pani Rowling jeszcze kiedyś coś napisze, a ktoś to nakręci. Mimo wszystko – szacun, że dojechali z filmami do końca, gdyż początkowo byłem pewien, że ekranizacja *Pottera* podzieli losy innych napoczętych adaptacji cykli dla młodzieży. Szacun też, że producentom udało się przez 10 lat utrzymać tę samą obsadę (z wyjątkiem Dumbledor'a, oczywiście). Co by nie gadać – wyczyn kinematograficzny jest, a i sama seria była znacznie ciekawsza, niż można by się spodziewać w książce, gdzie na okładce był rysunkowy chłopczyk z różdżką. Pani Rowling najwyraźniej miała jakąś tam wizję – i jakby jeszcze umiała pisać, to oprócz popkulturowej maszyny może dałoby się z tego zrobić sensowne wydarzenie; niestety na każdy jej oryginalny pomysł przypadają 100 miłych i oklepanych motywów. Kobicie najwyraźniej zabrakło potencjału, aby umieścić całość w 100% fikcyjnym świecie z własnymi regułami – a nie przepisywanymi z każdej znanej bajki, zwłaszcza że powiązanie świata magii z rzeczywistym też ją w końcu przerosło. Także zakończenie cyklu o połowę wcześniej pozwoliłoby na nieco większe zaskoczenie odbiorcy.

A tak – na koniec w kinie dostaliśmy przeciętniactwo; aczkolwiek dzięki dobrym reżyserom pewnie odcinki udało się nawet bez bólu obejrzeć. Adams out.



Uważaj, żebyś j: ja nie zniósł

Ocena (1-5):

Bitwa: 2

3D: 1

Finał: 2

Fajność: 3

Cytat:

Harry Potter: Professor, what should I do?

Ciekawostka przyrodnicza:

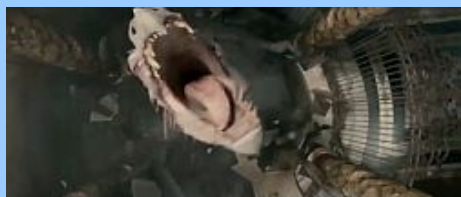
99% filmu dzieje się w ciągu jednego dnia.

Commander John J. Adams
/www.zakazanaplaneta.pl/

[tytuł od redakcji INFO]



Ale urv ał!



Smok ukraiński, j ikby kto pytał

GDZIE SĄ KSIĄŻKI Z TAMTYCH LAT...? (2)

W poprzednim numerze wyzalałem się, iż nie mogę przeczytać dalszych tomów ulubionego cyklu, gdyż wydawnictwa je wydające odeszły w niebyt. Prezentację tych cykli zakończyłem wezwaniem do PT Wydawców o przemyślenie możliwości ponownego wydania i kontynuacji.

Dzisiaj zamierzam napisać kilka gorzkich słów na temat istniejącego wydawnictwa, które nieraz dawało wyraz swojej arogancji i lekceważenia czytelników. Mam na myśli **WYDAWNICTWO AMBER**.

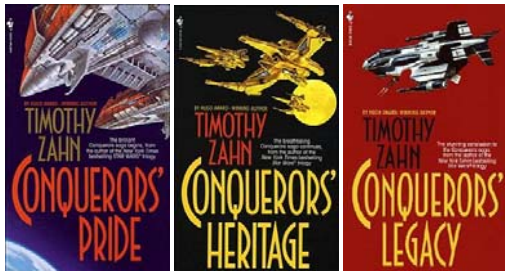
Aby nie być gołosłownym przedstawię szereg przykładów.

W połowie lat dziewięćdziesiątych Timothy Zahn napisał trylogię **Conquerors (Zdobycy)**:

- *Conquerors' Pride* (1994),
- *Conquerors' Heritage* (1995),
- *Conquerors' Legacy* (1996).

AMBER wydał tylko dwa tomy trylogii:

- *Duma Zdobyców* (1996),
- *Dziedzictwo Zdobyców* (1997).



Zarys treści: gdy ziemski gwiazdolot usiłuje nawiązać kontakt radiowy ze statkami Zdobyców, te bez żadnej logicznej przyczyny odpowiadają atakiem. Tak zaczyna się wojna między Ziemską Federacją Międzygwiezdną a Imperium Zdobyców. Na domiar złego Zdobycy posiadają dziwnych sojuszników – własnych przodków, którzy po fizycznej śmierci nadal egzystują w bezcielesnej postaci.

Pomijam tu głupawe okładki, nijak nie przystające do treści (typowy grzeszek wydawniczy z lat dziewięćdziesiątych) i chcę zadać Wydawnictwu AMBER pytanie: gdzie jest mój trzeci tom trylogii *Zdobycy*?

Brak ostatniego tomu z trylogii to jeszcze mały Pikuś. AMBER może poszczycić się rzadkim osiągnięciem: wydanie jednego jedyne go tomu z całego ogromnego cyklu **Harry'ego Turtledove**.

Mam na myśli tetralogię **Worldwar (Wojna światów)**:

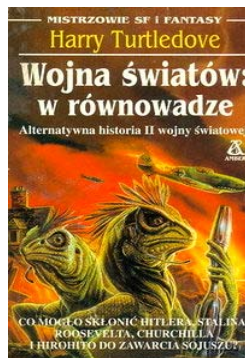
- *In the Balance* (1994),
- [AMBER wydał tę książkę w 1997 pod tytułem *Wojna światów: w równowadze*]
- *Tilting the Balance* (1995),
- *Upsetting the Balance* (1996),
- *Striking the Balance* (1996)

oraz trylogię **Colonization (Kolonizacja)**:

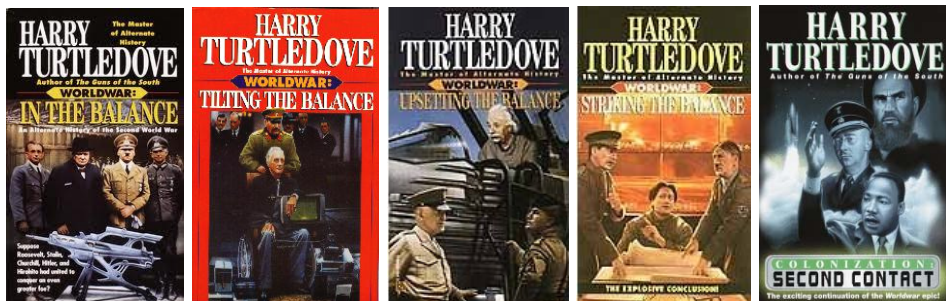
- *Second Contact* (1999),
- *Down to Earth* (2000),
- *Aftershocks* (2001)

i powieść kończąca cykl:

- **Homeward Bound** (2004)



Zamieszczam niżej okładki pierwszych wydań tomów *Worldwar* i pierwszego tomu *Colonization*. Prawda, że rewelacyjne!



W 1995 r. AMBER wydał rewelacyjny cykl fantasy **Legion** Harry'ego Turtledove:

- *Zaginiony legion* (*The Misplaced Legion*, 1987),
- *Imperator legionu* (*An Emperor for the Legion*, 1987),
- *Legion Videssos* (*The Legion of Videssos*, 1987) – wydany w 2 częściach, celem skrojenia kieszeni czytelników,
- *Miecze legionu* (*The Swords of the Legion*, 1987) – wydany w 2 częściach, celem skrojenia kieszeni czytelników.

Akcja dzieje się w Imperium Videssos (podobnego do Bizancjum), do którego wskutek działania magii zostały przeniesione trzy kohorty legionu rzymskiego uczestniczącego w wojnie galijskiej.

W 1996 AMBER wydał cykl **Opowieści o Krisposie** (*Tale of Krispos*)

- *Droga do tronu* (*Krispos Rising*, 1991),
- *Krispos z Videssos* (*Krispos of Videssos*, 1991),
- *Krispos imperator* (*Krispos the Emperor*, 1994)

którego akcja dzieje się w świecie Videssos – kilkaset lat wcześniej.

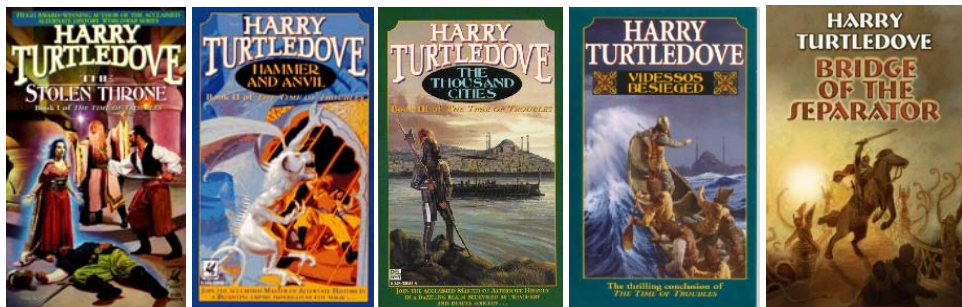
Trzeba przyznać, że AMBER postarał się przy wydawaniu tych cykli. Okładki ściśle dotyczą treści i jest ona spójna – mimo sześciu tłumaczy.

Warto by wydać kolejny cykl dziejący się w świecie Videssos – **Time of Troubles**:

- *The Stolen Throne* (1995),
- *Hammer and Anvil* (1996),
- *The Thousand Cities* (1997),
- *Videssos Besieged* (1998).

Cykl również dzieje się w przeszłości i dotyczy wojen Videssos z Makuranem.

Ciekawie również zapowiada się oddzielna książka **The Bridge of the Separator** (2005), będąca swoistą „biografią” czarnoksiężnika Rhavasa (Avshara).



WARTO ROBIĆ SERIAL

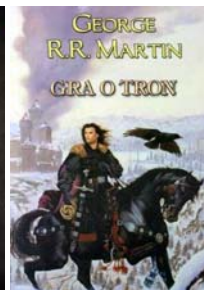
Recenzje
*Karola*czyli **GEORGE'A R. R. MARTINA**
"PIEŚŃ LODU I OGNIĄ"**Uwaga: recenzja zdradza niektóre wątki cyklu [zrzypis redakcji]****"Gra o tron"**

Minęło trochę lat od chwili, gdy czytałem tę książkę po raz pierwszy. "Gra o tron" zapoczątkowała jeden z najlepszych i piękniejszych cykli fantasy. Często jest tak, że czytając powieść po latach człowiek dostrzega elementy, które umknęły jego uwadze przy pierwszej lekturze. Częściowo bierze się to stąd, że nie śpieszy się już tak bardzo i nie połyka słów przy lekturze, bo zna przecież ciąg dalszy tej historii. Swoją drogą Martin umie budować napięcie. Najpierw mocny akcent na początek, czyli starcie z Innymi. Potem następuje zawieszenie akcji, która jednak powoli nabiera tempa. Czytelnik zostaje stopniowo wprowadzony w świat Siedmiu Królestw i jego realia. Poznaje też jego historię bliższą i dalszą. Kiedy autor uznaje, że czytelnik poznał już sytuację geopolityczną, akcja mocno przyspiesza. I pomimo faktu, że przecież znałem już tę historię, nie mogłem oderwać się od lektury.

Główne postaci nadchodzącego dramatu to przedstawiciele najznamienitszych rodów Siedmiu Królestw: Starkowie, Lannisterowie, Baratheonowie i Targaryenowie. Ci ostatni to smoczy władcy. Przez wiele lat sprawowali władzę w Siedmiu Królestwach. Ostatnim królem z ich rodu był Aerys Targaryen. Został obalony m.in. przez Neda Starka, Roberta Baratheona i Lannisterów. Ocalała jednak dwójka jego dzieci: syn Viserys i córka Daenerys. Chcą zrobić wszystko, aby odzyskać Żelazny Tron. Szukają poparcia. Krokem do odzyskania Siedmiu Królestw ma być małżeństwo młodziutkiej Daenerys z *khalem* Drogo, wodzem Dothraków. Nie wszystko jednak pójdzie tak, jak planował to sobie Viserys.

Eddard (Ned) Stark po obaleniu Targaryenów zaszył się na Północy, w swoich rodzinnych stronach. Nie chciał angażować się w politykę. Dochował się gromadki dzieci. Najstarszy syn i dziedzic to Robb. Młodsza od niego Sansa jest wiecznie rozmarzona i zaczytana w rycerskich romansach. Arya nie bardzo chce zaakceptować los jaki przewidują zwyczaje dla dziewczyny. Nie interesują jej kobiece zajęcia. Woli biegać z chłopcami i ćwiczyć walkę mieczem. Bran to energiczny chłopak, który nie słucha rodziców i wspina się po zamkowych murach. Zapłaci za to wysoką cenę. Najmłodszy syn, Rickon, ma zaledwie kilka lat. Oprócz dzieci z prawego łoża Ned ma jeszcze bękartą, Jona Snow. Zostaje on wysłany na Mur, kiedy ojciec opuszcza rodzinne Winterfell i wyjeżdża na Południe. Już na pierwszych kartach powieści ma miejsce epizod, który ma wymiar symboliczny. Robb i Jon znajdują młode wilkory. Po jednym wilkorze na każde z dzieci Neda. Wilkor znajduje się herbie Starków. Odtąd wilkory stają się wiernymi towarzyszami Starków.

Robert Baratheon jest kiepskim królem. Zdobył tron zabijając następcę Aerysa, Rhaegara. Nie zna się jednak na rządzeniu. Otoczony ze wszystkich stron intrygantami, wśród których prym wiedzie wywodząca się z Lannisterów żona o imieniu Cersei, pozwala sobą dowolnie manipulować. Goni za doczesnymi przyjemnościami. W efekcie dorobił się gromady bękartów. Wie, że nie nadaje się na króla, ale



nie umie wybrnąć ze ślepej uliczki, w którą zabrnął. W geście desperacji zwraca się o pomoc do Neda Starka, powierzając mu funkcję Namiestnika.

Lannisterowie mozolnie budują potęgę swego rodu. Niegdyś zdradzili Targaryenów. Jaime Lannister zamordował króla Aerysa. Z rozkazu głowy rodu, Tywina Lannistera, zginęła żona i dzieci Rhaegara. Teraz Lannisterowie knują za plecami króla Roberta. Tylko Tyrion Lannister, zgorzkniały wyrzutek, którego ojciec nienawidzi z powodu kalectwa, jakim w jego oczach jest karłowaty wzrost, zachował gdzieś na dnie, pod grubymi pokładami cynizmu, resztki przyzwoitości.

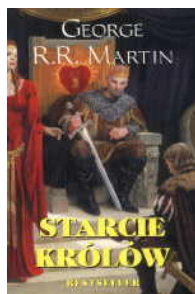
Gdy narastają konflikty, za Murem, na Północy, odradza się groźba, która niegdyś już terroryzowała Siedem Królestw. Nadchodzi zima, a wraz z nią Inni. Ludzie już jednak zapomnieli, dlaczego powstał Mur. Nie pamiętają, po co powołano do życia Nocną Straż.

"Gra o tron" to dość smutna opowieść. Ukazuje, jak namiętności i słabości tych, którzy rządzą, sprowadzają cierpienia na zwykłych ludzi. Jak odwracają uwagę od rzeczy naprawdę ważnych. Mamy tu cały korowód tragicznych postaci. Weźmy kilka z brzegu: Daenerys, król Robert i Ned Stark. Daenerys jest od dziecka indoktrynowana przez brata i wychowywana w nienawiści do tych, którzy obalili rządy jej ojca. Robert Baratheon nie umie zapomnieć swej ukochanej Lyanny, siostry Neda. Została ona zgwałcona przez Rhaegara i wkrótce po tym fakcie zmarła. Nawet po tylu latach Roberta wypala od środka nienawiść do Targaryenów. Żyje wspomnieniami przeszłości. Ned Stark jest zbyt uczciwy i honorowy na świat, w którym przyszło mu żyć. Sprowadza tym sposobem nieszczęście nie tylko na siebie i swoją rodzinę, ale na całe Siedem Królestw, które pogrążą się w chaosie. Jego decyzja to temat na dłuższy wywód. Można byłoby zestawić jego postać z innymi, które są mniej honorowe i uczciwe, a jednak swymi działaniami chcą zapobiec chaosowi. Niestety, wymagałoby to zdradzenia sporej części fabuły, czego chciałbym uniknąć. W końcu staram się zachęcić do lektury. Element niespodzianki ma swój niewątpliwie urok. Tym, którzy jeszcze nie czytali, polecam zatem serdecznie "Grę o tron".

"Starcie królów"

Powieść ta to kolejna część cyklu. Już przy innej okazji pisałem, że to norma w fantasy. Ma to jedną istotną zaletę: przynajmniej wiem, czego oczekiwać. Pozycja może być słabsza od poprzedniej, ale jeśli spodobały mi się poprzednie części, to z dużym prawdopodobieństwem podobnie będzie z kontynuacją. "Starcie królów" liczy blisko 900 stron. Wydaje się to dużo, ale zapewniam, że lekturę kończy się z uczuciem, iż to i tak było mało. Poświęćmy może nieco uwagi akcji. W Zachodnich Królestwach po śmierci króla Roberta Baratheona – dodajmy, że śmierć została ukartowana – zapanowała anarchia. Właściwym określeniem byłoby: anarchia feudalna. George R. R. Martin oparł ustrój społeczny tej wymyślonej krainy na średniowiecznym systemie lennym. Zresztą tych inspiracji średniowieczem – zwłaszcza angielskim – jest tu wiele. Ot, chociażby sama liczba siedmiu legendarnych królestw, zjednoczonych pod berłem smoczego dynastii, siłą rzeczy kojarzy się z siedmioma królestwami anglosaskimi. Mur, oddzielający w powieści cywilizację od grozy chaosu i mrocznych sił, jako żywo kojarzy się z Wałem Hadriana. No i naturalnie kultura rycerska. Zostawmy jednak te inspiracje, od których w gruncie rzeczy nie jest w stanie uwolnić się prawie żaden autor fantasy. Zresztą nie czynię z tego wcale zarzutu.

A zatem, jak już zaznaczyłem, zapanowała anarchia. Nie wszyscy uznali władzę małoletniego syna króla. De facto nie jest on synem króla, lecz owocem kazirodczego związku królowej z bratem. Tych dwoje wywodzi się rodu Lannisterów i ten ród najwięcej zyskuje na zaistniałej sytuacji. Tyle tylko, że żaden z braci króla Roberta nie uznał swego bratanka na tronie. Obaj sami ogłosili się władcami. Do tego doszło kilka innych uzurpacji i w efekcie zapanował chaos. Bowiem brak silnej władzy centralnej to



pożywka dla awanturników różnej maści, którzy korzystają z okazji, by gwałcić i rabować. Świadomi są, że w tych okolicznościach jedyna sprawiedliwość to sprawiedliwość silnych. Powieść jest wielowątkowa. Obok opisu zmagania o tron ukazane zostały narodziny dwóch kolejnych zagrożeń: jednego na północy, za Murem, a drugiego na południu, gdzie na nowo zrodziły się smoki, a wraz z nimi magia. Galeria postaci wykreowanych przez autora jest wręcz niesamowita. Podziw budzi fakt, że nie pogubił się on w tych wszystkich wywodach. Śledzimy równocześnie losy osieroconego rodzeństwa sześciorga Starków – ich ojciec, Ned Stark, był jedną z ofiar nadwornych intryg, Daenerys – ostatniej przedstawicielki smoczej dynastii, Tyriona Lannistera – kalekiego karła, który pomimo przynależności do rodu Lannisterów jest traktowany jak wyrzutek itd. Ich oczami widzimy rozwój konfliktu i spustoszenia, jakie sieje on w kraju. Jak na dobrze zaplanowany cykl przystało, na tych 900 stronach wyjaśniło się niewiele. Intryga zrobiła się miejscami jeszcze bardziej pogmatwana. Wprawdzie jeden z braci króla Roberta, Stannis, zamordował przy udziale magii drugiego z braci, ale wcale go to nie przybliżyło do tronu. Stronnictwo jego brata poszło w rozsypankę. Część poparła Stannisa, a część Lannisterów. Na razie Stannis został pokonany przez Lannisterów, ale co dalej? Albo jakie zagrożenie przybędzie z północy? Autor nie zdradza zbyt wiele w tej materii, sugerując jedynie, że związane jest ono z zimą. Dlatego niecierpliwie czekam na ciąg dalszy. Tymczasem zaś zamierzam delektować się kontynuacjami innych cykli.

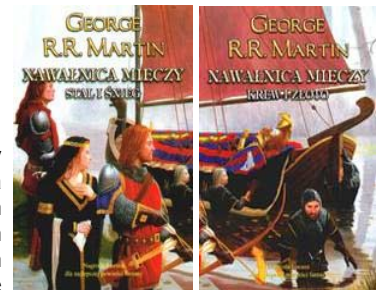
"Nawałnica mieczy"

t. 1: Stal i śnieg

t. 2: Krew i złoto

Doczekałem się wreszcie kolejnego tomu, czy raczej kolejnych tomów, cyklu George'a R. R. Martina "Pieśń lodu i ognia". Łącznie ponad 1100 stron fascynującej lektury. Szkoda, że tak mało... Na tych stronach wiele się wydarzyło. Spośród walczących o władzę królów zginęło aż trzech. W tym tomie Lannisterowie nadal triumfują. Na przestrzeni kilkuset stron wydaje się nawet, że może być to triumf bezwzględny, ale wydarzenia z końca powieści zapowiadają ciężkie chwile dla ich potęgi. Tyrion Lannister, który w poprzednim tomie pociągał za sznureczki władzy, teraz został pozbawiony przez ojca większego znaczenia i na pewien czas zepchnięto go na margines ważnych wydarzeń. Na swoje nieszczęście nie pozostał tam długo. Jego brat, Jaime Lannister, zmienia się pod wpływem traumatycznych doświadczeń. Tymczasem na północy armia Mance'a Rydera dotarła do Muru, próbując go sforsować. Mance Ryder zdobył legendarny Róg Zimy, który według legend ma moc zburzenia Muru. Jon Snow, bękart Eddarda Starka, zmuszony okolicznościami, przyłączył się do dzikich ludzi Mance'a Rydera, ale w sercu wciąż pozostaje wierny Nocnej Straży. Król północy, Robb Stark, oraz jego matka Catelyn pozwolili, aby uczucia kierowały ich działaniami, przez co tracą sprzymierzeńców i – nie do końca tego świadomi – zmierzają ku zagładzie. Sansa Stark pozostaje w rękach Lannisterów, co ma dla niej ponure konsekwencje. Arya Stark wciąż gdzieś się błąka, a kiedy jest już bliska połączenia z rodziną, gwałtowne wydarzenia przekreślają jej plany. Pokonany przez Lannisterów Stannis Baratheon zaszył się na swojej wyspie, Smoczej Skale, i czeka na sposobność do ponownego wejścia do gry o tron. Kiedy decyduje się na konkretne działania, są one dość dużą niespodzianką (przynajmniej dla mnie były). Daenerys Targaryen, jedyna ocalała przedstawicielka tego roku, tworzy swoją potęgę za morzami, aby odzyskać tron.

Tak najkrócej, a przy tym nie zdradzając zbyt wiele, streściłbym tę część cyklu. Oczywiście na przestrzeni 1100 stron wydarzyło się bardzo wiele. Powiedziałbym, że miało miejsce prawdziwe trzęsienie ziemi. Autor nie oszczędza bohaterów. Ciekaw



jestem, kto dotrwa do końca cyklu, bo w tym tomie trup stał się jeszcze gęściej niż w poprzednich. Do tego odmiany losu bohaterów były tak niespodziewane i gwałtowne, że nie sposób ich przewidzieć. To oczywiście czyniło lekturę jeszcze bardziej fascynującą. Gdy do tego dodamy fakt, że opowieść jest doprawdy monumentalna i aż dziw bierze, iż autor nie gubi się w tych wszystkich wątkach, to jasne powinno być, dlaczego każdą wolną chwilę spędzałem na lekturze.

Kiedy zastanawiam się, co właściwie sprawia, że cykl "Pieśń lodu i ognia" (swoją drogą powoli zaczynam rozumieć, skąd wzięła się nazwa cyklu) jest tak fascynujący, przychodzi mi do głowy kilka rzeczy. Przede wszystkim dbałość o szczegóły. Składa się na nią kilka elementów. Autor zna realia średniowiecza i wie, że szarża ciężkozbrojnej konnicy na znacznie liczniejszy, ale niezdiscyplinowany i słabo uzbrojony pieszy oddział, zawsze kończy się sukcesem konnicy. Wie, że przewaga liczebna nie oznacza sukcesu, jeżeli atakuje się obwarowania. Wie, że nawet drobna rana może oznaczać śmierć, bo zakażenie to paskudna sprawa. To tylko parę przykładów, ale to właśnie ten realizm bardzo dobrze służy powieści. Dbłość o szczegóły to oczywiście nie tylko umiejętność posługiwania się realiami średniowiecza. To także umiejętność tworzenia zupełnie nowych obyczajów, które funkcjonują w opisywanym świecie. To zdolność kreowania historii opisywanego świata. To umiejętność tworzenia przeszłości postaci, które pojawiają się na kartach powieści. Nikt nie pojawia się znikąd. Każdy ma swoją historię, którą poznajemy w różny sposób. Przy tym możemy poznać przeszłość bohaterów naświetloną z najróżniejszych punktów widzenia, niepewni, która z tych wersji jest najbliższa prawdy. W ten sposób postaci są zindywidualizowane. Nie są papierowe. Kiedy lepiej je poznajemy, zaczynamy rozumieć ich motywacje. W konsekwencji trudno o jednoznaczny podział na dobrych i złych, tak typowy przecież dla fantasy. Najlepszym przykładem jest tu Jaime Lannister, który przechodzi prawdziwą metamorfozę na kartach tej części cyklu.

Mógłbym tak jeszcze długo wyrażać swoje zachwyty, ale tak naprawdę powinno się samemu sięgnąć po tę książkę i albo się z tym zgodzić, albo nie.

Uczta dla wron"

t. 1. Cienie śmierci

t. 2 Sieć spisków

Długo trzeba było czekać na kolejną część cyklu "Pieśń lodu i ognia". W sierpniu 2002 roku skończyłem czytać "Nawałnicę mieczy". Nie miałem pojęcia, że upłynie aż tyle lat, nim poznam dalsze losy bohaterów. A że przez te lata sporo zapomniałem, konieczne było ponowne przeczytanie tych kilku tysięcy stron. Wspomniała lektura. Nadal podpisuję się obiema rękoma pod wcześniejszymi zachwyty nad cyklem.

Niestety, w "Uczcie dla wron" brakuje wielu bohaterów znanych z poprzednich części. Wielu zginęło, a inni zniknęli z pola uwagi autora, który jednak zaznacza, że powrócą w kolejnych częściach. Obiecywał nawet, że nastąpi to jeszcze w tym roku w części zatytułowanej "Taniec ze smokami" i z tego względu zwlekąłem z lekturą, ale na jego oficjalnej stronie internetowej można już od października ubiegłego roku znaleźć informację, że przeliczył się z siłami. Szkoda.

Po krwawych wydarzeniach opisanych w "Nawałnicy mieczy" niedobitki rodu Starków zostały rozproszone po świecie. Catelyn Stark powróciła jako zombi. Zyskała przydomek "Lady Kamiennie Serce", bo rzeczywiście bez litości tropi i morduje wrogów. Niestety, dotyczy to zarówno tych prawdziwych, jak i wyimaginowanych. Jon jest dowódcą Nocnej Straży na Murze. O Rickonie i Branie słuch zaginął. Arya trafiła do Braavos, gdzie służy Bogu o Wielu Twarzach. Sansa znalazła się pod opieką Petyra Littlefingera. Oficjalnie występuje jako jego naturalna córka. Powoli odkrywa, jak



wielką sieć spisków rozciągnął Littlefinger. Jakie są jednak jego ostateczne cele – nie wiadomo. Sansy szuka Brienne. Ta kobieta-wojownik nie ma lekkiego losu. Cięży na niej bezpodstawne oskarżenie o zamordowanie króla Renly'ego. Choć nie jest rycerzem, to swym postępowaniem dowodzi, że bliżej jej do tego ideału niż wielu pasowanym rycerzom. To właśnie jej postawa w dużym stopniu przyczyniła się do metamorfozy Jaime Lannistera.

Po zamordowaniu Tywina Lannistera, głowy rodu, Lannisterowie są osłabieni. Cersei objęła władzę regentki. Opanowana w równym stopniu żądzą władzy i paranoją, balansuje na granicy błędów. Popelnia szereg błędów i traci poparcie rodziny. Porzuca ją nawet brat-bliźniak Jaime, jej dawny kochanek. Jaime po opuszczeniu Królewskiej Przystani stara się zakończyć wojnę z niedobitkami zwolenników Starków. Cokolwiek by jednak nie zrobił, prześladuje go przeszłość. Dla wszystkich pozostaje Królobójcą.

Poza losami przedstawicieli rodów Starków i Lannisterów, możemy poznać przygody Samwella Tarly w drodze do Starego Miasta. Dowiadujemy się o wydarzeniach w Dorne, gdzie śmierć księcia Oberyna wywołała duży ferment. Śledzimy dzieje sukcesji po śmierci Balona Greyjoya i ekspansję żelaznych ludzi.

Szczerze powiedziawszy, właśnie bez tych wątków, które wymieniłem w poprzednim akapicie, powieść spokojnie by się obyła. W końcu już w "Nawałnicy mieczy" wspomniano o śmierci Balona Greyjoya. Szczegółów sporów o sukcesję nie potrzebowaliśmy. Opis pobytu Samwella Tarly w Braavos też nie wniósł niczego istotnego. Można byłoby to skrócić. Jedyna istotna informacja to proroctwo, które było już w poprzednich częściach mgliście wspomniane, a i teraz nadal wiem tylko tyle, że dotyczy trzech smoków. Generalnie mam nieodparte wrażenie, że Martin idzie śladami innych autorów, którzy pisząc cykl, gubią gdzieś po drodze główny wątek. Nie ma tu jeszcze tak rozwlekłych i nudnych fragmentów, jak u Jordana, który zupełnie się pogubił, ale są niebezpieczne oznaki, że autor zamiast trzymać się wątku, zechce podzielić się z czytelnikami wszystkim, co wymyślił. Owszem, kolejne informacje o przeszłości boha-terów, o historii Siedmiu Królestw, czy Valyrii, są nawet interesujące, ale może warto byłoby zachować te pomysły na kolejne powieści, które toczyłyby się w tym wyimaginowanym świecie?

Dobrze byłoby również, gdyby autor pozostał przy swoim drobiazgowym realizmie, za który go tak komplementowałem recenzując "Nawałnicę mieczy". Kiedy czytałem o abordażu, w którym biorą udział wojownicy zakuci w ciężkie zbroje płytowe, to byłem lekko zniesmaczony. Czy autor próbował sobie kiedyś poskakać w ciężkiej zbroi płytowej? A przeskoczyć z okrętu na okręt? Nawet jeśli ktoś byłby w stanie tego dokonać, to wątpię, aby chciał ryzykować, bo wpadnięcie do wody oznaczałoby nieuchronną śmierć.

Dla równowagi przypomnę wszystkie zalety cyklu. Wielowątkowa historia o zawiłej intrydze. Nieoczekiwane zwroty akcji. Brutalne obnażenie faktu, że coś, co nazywamy polityką, to w rzeczywistości wypadkowa chaotycznych działań wielu ludzi. Dbałość o wiarygodność psychologiczną postaci. Wielowymiarowość postaci. Nigdy nie wiadomo, czy bohater, którego zaszufładowaliśmy po stronie dobrych, nie okaże się w ostatecznym rozrachunku złym, a zły - dobrym. Skądinąd takie szufładowanie to w przypadku tej powieści nadużycie. Pewnie mógłbym to ciągnąć, ale chyba warto coś zachować na recenzję kolejnej części.

Choć trochę ponarzekałem, to generalnie nie mogłem się oderwać od powieści. I aż mnie skręca, jak sobie pomyślę, ile będę musiał czekać na kolejną część. Wprawdzie ta część była wyjątkowo mroczna i pesymistyczna, ale może dalej będzie trochę lepiej. Chwilowo potrzebuję jednak dla odmiany czegoś optymistycznego.

Karol Ginter

<http://karolginter.pl>

[tytuł od redakcji]



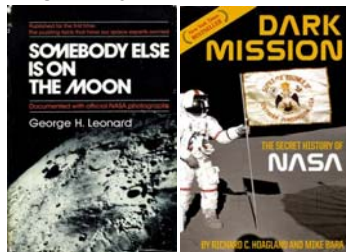
CZY JESTEŚMY SAMI W KOSMOSIE?

CZĘŚĆ II: CO ZNALEŻLI ASTRONAUCI NA KSIĘŻYCU

Dlaczego Amerykanie tak bardzo spieszyli się z lądowaniem na Księżycu, mimo ryzyka, prymitywnej technologii i astronomicznych kosztów? I czy rzeczywiście wylądowali, czy też była to największa kampania dezinformacji we współczesnej historii? Autorzy książek „Ktoś inny jest na Księżycu” i „Ciemna misja – tajna historia NASA” twierdzą, że prawdziwym celem wypraw na Srebrny Glob było odwiedzenie starożytnych ruin na Księżycu – aby zdobyć próbki technologii Obcych.

Według autorów NASA rozpuściło plotkę, że lądowania nigdy się nie odbyły, aby ukryć prawdziwy cel misji księżycowych. Niektóre ze zdjęć mogły być nawet zrobione w studio na Ziemi, aby jeszcze bardziej zamieszać w głowach tym, którzy chcieliby dojść do prawdy. Kiedy szuka się w internecie informacji na ten temat, ciężko jest znaleźć rzetelne dane.

Spróbuję tutaj przedstawić kilka przykładów, które wyglądają bardzo przekonująco, choć oczywiście nie mogą zagwarantować ich autentyczności.



Fot. 1. Czy lądowanie na Księżycu było sfilmowane w jednym ze studiów Hollywood?

Opisują oni masywne budowle i kryształowe kopuły w różnych miejscach na Księżycu, które według nich są wymazywane ze zdjęć NASA. Wiele z tych fotografii ma słabą rozdzielczość i niewiele na nich widać po wydrukowaniu bez kolorów. Załączam przykłady takich zdjęć (fot. 2) ze strony www.marsanomalyresearch.com. Wydaje się oczywiste, że coś zostało z tych zdjęć wymazane – ale czy jest to rzeczywiście wysoka wieża? Gdzie jest jej cień? W sieci jest dużo podobnych zdjęć, ale nie jestem pewien, co one naprawdę pokazują (lub ukrywają).

Autorzy spędzili też sporo czasu analizując transmisje między astronautami i Ziemią: niektóre sugerują, że astronauta używali zakodowanego języka, opisując struktury, które badali na Księżycu, a nawet – że widzieli statki kosmiczne i bazę Obcych. Czy jest to prawda, czy też część kampanii dezinformacji?



Fot. 2. Coś zostało z tych zdjęć wymazane. Ale co?

Popatrzcie na fot. 3. Jest to dla mnie jedno z najbardziej intrygujących zdjęć. Trzy lata temu osobiście ściągnąłem tę fotografię z oficjalnej strony NASA:

<http://www.hq.nasa.gov/alsj/a17/AS17-134-20384HR.jpg>; po publikacji tego zdjęcia na stronie internetowej autorów książki „Dark Mission” – NASA usunęło je, dając nową wersję, na której nie ma już tego cienia. Co ciekawe: jeżeli ściągniecie różne wersje tego zdjęcia z różnych oficjalnych stron w USA (i nie tylko) oraz zwiększycie jasność w ten sam sposób jak na zdjęciu 4 – zobaczycie, że występują znaczne różnice w obróbce. Na niektórych zdjęciach pojawiają się na przykład „gwiazdy” (które nie przypominają żadnych znanych konstelacji), a na innych widać ślady niechlujnego wycinania albo zamazywania wokół sylwetki astronauty.

Skąd wziął się ten cień? Czy jest to cień na jednej z nieco zakurzonych kryształowych kopu?



Fot. 3. Fotografia S17-134-20384 (grudzień 1972). Astronauta Harrison H. Schmitt sfotografowany przy amerykańskiej fladze, obok miejsca lądowania Taurus-Littrow. Koniec drzewca flagi zdaje się wskazywać na sierp Ziemi. Zdjęcie zostało zrobione przez astronautę Eugene A. Cernana, dowódcę Apollo 17.



Fot. 4. Ta sama fotografia po zwiększeniu jasności (do +10.00) w programie Photoshop. Zauważcie dziwny „cień” na niebie za astronautą.

Astronauta Alan Bean był jedynym artystą, który odwiedził Księżyc. Wejdźcie na stronę www.alanbeangallery.com i przyjrzyjcie się dobrze kolorom: wiele z jego obrazów pokazuje tęcze na glebie księżycowej – być może są to odbicia od połamanych resztek kryształowych kopu, które rozpraszają światło słoneczne, tak jak szklane pryzmaty na Ziemi?

Sławomir Wojtowicz

w następnym numerze: Starożytni astronauta

Patrząc z ukosa (3)

ZWYCZAJNA MAGIA

Jeśli możesz przeczytać ten tekst, nie musisz używać okularów.



Nie wiem, czy to jest prawda, wiem natomiast, że Wszechświat zachowuje się tak, jakby to była prawda.

(Martyń Kahekili Carruthers)

Hawaje to najbardziej na północ wysunięta część Polinezji, jedno z najbardziej odosobnionych miejsc na świecie (3200 km od wybrzeży Ameryki Północnej i około 800 km od sąsiedniego archipelagu, Wysp Bożego Narodzenia). Zostały odkryte przez Jamesa Cooka, który odwiedził je dwukrotnie w latach 1778-1779. Drugą wizytę słynny podróżnik przypłacił życiem – a było to tak...



Kiedy dopływał do Wielkiej Wyspy, w miejscu zwanym dziś *James Cook*, trwały właśnie obchody ku czci Lono, jednego z hawajskich bogów. Jego symbol, niesiony przez tubylców, przypominał żagiel umieszczony na tyczce z po-przeczką. Cóż więc mogli sobie pomyśleć, widząc dwa statki zwieńczone lasami takich symboli? Rzecz jasna, że przybył do nich Lono we własnej osobie; tym bardziej, że ów obiecał kiedyś, odpływając wielką łodzią, że powróci na Hawaje w dniu swojego święta. Tak więc tubylcy potraktowali podróżnika jak boga, z najwyższą możliwą atencją. Kiedy jednak jakiś czas później Cook odpłynął, niespodziewany sztorm zmusił go do powrotu. Hawajczycy byli znieścma-czeni. Czyż nie potraktowali go jak boga? Czego więc szuka tu teraz, gdy święto już się skończyło? I czy statek boga może ulec uszkodzeniu? Zrobiło się nieprzyjemnie. A kiedy na domiar złego kapitan Cook potknął się schodząc na ląd, dla wszystkich stało się jasne, że nie jest żadnym bogiem, lecz zwykłym uzurpatorem, został więc natychmiast zabity. (Jest to hawajska odmiana tej historii, różniąca się nieco od zamieszczonej w europejskich podręcznikach.)

Wspomniany wyżej Lono w oficjalnej wersji dla niewtajemniczonych jest bogiem rolnictwa i dobrobytu, natomiast dla lepiej poinformowanych jest bogiem logiki (!), personifikacją *Świadomości Wszechświata*. Podobnie Ku, znany jako bóg wojny, jest w istocie uosobieniem *Podświadomości Wszechświata*. Pierwszego z nich przedstawia się z włosami wznoszącymi się faliście do góry (jak u pań z rodziny Simpsonów), zaś drugiego z włosami opadającymi prosto w dół, do ziemi. Widoczny tu dualizm między rozumieniem pospolitym (egzoterycznym), a ukrytym (ezoterycznym) – jest typowy dla większości kultur, tu jednak związek między nimi wydaje się być bardziej ścisły. Na poziomie zwyczajnego człowieka mamy folklor bądź mitologię, rozumiane jako zbiór opowieści o bogach i bohaterach, są jednak w nich zaszyfrowane pewne ukryte sensory, zrozumiałe jedynie dla wtajemniczonych. Warstwa ezoteryczna nazywa się *huna*, czyli *to, co jest ukryte*. Z kolei mistrz tej tajemnej wiedzy nazywa się *kahuna*, co można odczytać dwojako: jako *ka-huna* (człowiek huny) lub jako *kahu-na* (*ten, kto utrzymuje równowagę*). Ten przykład ukazuje pewną osobliwość języka hawajskiego (a ogólniej polinezyjskiego): jest on nasycony znaczeniami w taki sposób, że sens słowa jest sumą sensów jego części składowych, przy czym rozkładów na części może być wiele. Stąd do ukrytych, dodatkowych znaczeń, zwłaszcza w przypadku długich słów, można też dotrzeć poprzez analizę lingwistyczną, co na przykład uczynił Max Freedom Long w swojej książce *Magia cudów* (1948 r.). Ze względu na swoją wieloznaczność – język hawajski doskonale nadaje się do tworzenia poezji (co też tubylcy czynią), jest też z pewnością najbardziej związłą mową świata, bijąc pod tym względem na głowę język angielski.



Wspomniałem przed chwilą o Longu (1890-1971), który odkrył dla zachodniego świata nauki huny. Lepiej jednak byłoby powiedzieć, że je zrekonstruował, tak jak archeolog odtwarza rozbite naczynie ze znalezionych skorup. Użył do tego celu relacji swego przyjaciela doktora Williama T. Brigham (pracownika naukowego i dyrektora *Bishop Museum* w Honolulu, który przez 40 lat utrzymywał kontakty z kahunami), uzupełniając luki analizą lingwistyczną oraz naukami ezoterycznymi innych kultur. Kahuni oceniają, że w tym, co napisał, jest 80% prawdy i 50% huny (czyli 40% prawdziwej huny) – wynik całkiem imponujący jak na metody, którymi się posłużył. Czemu jednak po prostu nie zapytał kahunów?

Otóż za życia Longa w USA oraz na zależnym terytorium Hawajów obowiązywało prawo zakazujące uprawiania czarnej magii, a za taką została uznana huny. Kahuni zatem musieli działać w ukryciu, skąd Long wysnuł błędny wniosek, że już nie istnieją. Co interesujące: adepci tej niby-huny najwyraźniej nadal tak sądzą (lub udają, że sądzą), w związku z czym piszą książki, organizują kursy, korespondują ze sobą, a przede wszystkim stosują jej metody w codziennym życiu. Jest to uzasadnione o tyle, że wykazuje ona pewną ograniczoną skuteczność, a z drugiej strony książki zawierające prawdziwą hunę w ogóle nie istnieją. Jedynym wyjątkiem jest dzieło spisane przez misjonarzy w latach 1820-tych, przechowywane w *Bishop Museum* i nie udostępniane nikomu (a szkoda, bo to bez wątpienia historycznie najważniejsze źródło). Jeśli chodzi o samych kahunów, to ich wiedza przekazywana jest ustnie, w rodzinie. Obecnie rodowici Hawajczycy są nieomal na wymarcu (poniżej 1% populacji) – a ci, którzy pozostali, mają na ogół inne, amerykańskie, ambicje. Nastąpiło więc otwarcie na świat, w wyniku którego mugole (po hawajsku *haole*, czyli *nie umiejący oddychać*) mogą pobierać nauki u kahunów, po uprzednim symbolicznym przyjęciu do rodziny (*ohana*).^{*)} Takie szkolenie przeszedł np. mój preceptor huny, Martyn Kahekili Carruthers, mianowany przez kahunów *kumu* (nauczycielem). Ja sam, w wyniku serii warsztatów u Martyna, zyskałem tytuł *haumana*, co można byłoby najprościej przetłumaczyć jako *uczeń czarnoksiężnika*. Specjalnie użyłem terminu wywołującego liczne skojarzenia, gdyż zostałem poddany pewnym, wielce roztropnym ograniczeniom. Otóż mogę swobodnie stosować wszystko, czego się nauczyłem, również wobec innych ludzi (jeśli wyrażą taką wolę), nie wolno mi jednak nauczać tych elementów huny, które umożliwiają jej praktykowanie. Nie jest to przy tym zakaz, który można zignorować: kiedyś niechący spróbowałem – i po prostu nie udało mi się go złamać. Podobną historię znam zresztą też z relacji innego adepta (trefny akapit „zgubił się” podczas kopiowania). Dlatego nie ma i nie będzie ogólnie dostępnych tekstów na temat praktykowania prawdziwej huny, w opozycji do niby-huny, której podręczników jest pod dostatkiem.

Poza praktyką jest jeszcze światopogląd, a tym mogę ze wszystkimi bez przeszkód się podzielić. Najbardziej podstawowa jest tu koncepcja trzech umysłów człowieka: świadomości (*Sredniego Ja*), podświadomości (*Niższego Ja*) oraz nadświadomości (*Wyższego Ja*). Warto tu porównać datę odkrycia Hawajów (1778) bądź przybycia misjonarzy (1820) z latami życia odkrywcy podświadomości na gruncie europejskim, Sigmunda Freuda (1856-1939). Świadomość jest dość banalna i ograniczona do głowy (mózgu), natomiast podświadomość jest *umysłem ciała* i jako taka obejmuje cały organizm człowieka. Nie chodzi przy tym tylko o to, że kontroluje wszystkie funkcje życiowe: ona po prostu jest w całym ciele „materialnie” obecna. Co interesujące – dowodów na to dostarcza transplantologia. Otóż wielokrotnie obserwowano, że po przeszczepie serca biorca przejmuje pewne upodobania dawcy, a serce od zawsze było uznawane za siedzibę uczuć (co bezskutecznie usiłuje się nam wyperswadować). Podświadomość zawiaduje pamięcią długotrwałą człowieka (podczas gdy świadomość tylko krótkotrwałą), magazynując ją w różnych miejscach ciała. I znów instynktownie to wiemy, mówiąc na przykład: *wziął to sobie do serca, leży mu*

^{*)} Obecna w wyrazach *Hawaii*, *haole* i *ohana* sylaba *ha* oznacza specjalny oddech służący do pobierania energii z powietrza. Podobnie jest w wyrazie *aloha*, który znaczy dosłownie *łączę się z tobą oddechem*.

to na wątrobie, mam to w nosie i tak dalej. Nawiasem mówiąc, tego typu odzywki podświadomość traktuje całkiem dosłownie jako nasze postulaty, co niekiedy może być przyczyną choroby, zwłaszcza jeśli gdzieś w organizmie ulegnie *otorbieniu* jakiegoś traumatycznego przeżycia. Huna uczy, w jaki sposób zaglądać do tych *czarnych toreb*, by się od nich uwolnić.

Kahuni twierdzą, że podświadomość przypomina gromadkę małych dzieci. Chodzi o to, że pomiędzy 7. a 10. rokiem życia człowieka rozwija się świadomość, przejmując stopniowo kontrolę nad podświadomością (dlatego obowiązek szkolny przed 7. rokiem życia jest absurdem). Z kolei podświadomość, rutynowo zaniedbywana, pozostaje na ogół na poziomie siedmiolatka, ulegając jedynie postępującej fragmentacji w wyniku serii procesów określanych przez psychologów jako wyparcie. W skrajnym przypadku może dojść do powstania tzw. osobowości mnogich, będących wdzięcznym tematem literackim i filmowym. Huna pozwala rozwiązywać tego i innego typu psychologiczne problemy – w czym jest, jak śmiałem twierdzić, bardziej skuteczna od psychoanalizy.

Z kolei nadświadomość przebywa poza ciałem i czasem (w tzw. *wiecznym Teraz*), będąc źródłem tego, co nazywamy intuicją. Jej komunikaty mają postać idei, które podświadomość tłumaczy na język obrazów – i w tej postaci, najczęściej we śnie, przekazuje świadomości (natomiast po tzw. *żeńskiej stronie* – przepraszam za brak precyzji – nadświadomość łączy się bezpośrednio ze świadomością, co tłumaczy słynną kobiecą intuicję). Wyższe Ja otacza nas wszechstronną opieką – pilnując, by mogło się zrealizować nasze przeznaczenie, czyli to, co sobie zaplanowaliśmy przed przyjściem na ten świat. Nie oznacza to jednak żadnego przymusu, gdyż decyduje zawsze doczesna część naszego jestestwa. Dla przykładu nadświadomość zadba o to, żebyś spotkał swoją przyszłą żonę – lecz ty możesz to zignorować. Wtedy Wyższe Ja przejdzie do planu B, co może oznaczać sugestie i dobre rady, przekazywane za pośrednictwem podświadomości; a jeśli i to nie pomoże – zaaranżuje kolejną sytuację, która wiąże się z bieżącą koncepcją lub jakimś innym, zaplanowanym pomysłem. W ten sposób trzy umysły oddziałują ze sobą, ucząc się od życia i od siebie nawzajem, co Martyn nazywa *uniwersytem dla aniołów*. A wolna wola, no cóż... to zdolność wyboru rozwidlających się ścieżek w ogrodzie naszego przeznaczenia.

Większość działań w zakresie huny opiera się na kontakcie z Wyższym Ja, które posiada ogromne możliwości działania. To ogólnik, ale wiele mówiący. Otóż huna nie interesuje się w ogóle tym, jak ono to robi; po prostu robi to – i koniec. Zadaniem adepta jest skuteczne powiadomienie nadświadomości o swoich życzeniach. Ta z kolei spełni je, chyba że nie byłoby to dla nas korzystne, a także pod warunkiem, że ma dostęp do energii właściwej dla danego zadania. Dobrym przykładem jest wspomniany zeszłym razem rytuał *ho'oponopono*: nadświadomość ingeruje na nasze życzenie w *nici aka*, reprezentując nasze interakcje z innym człowiekiem, przy czym nigdy nie wiadomo, co właściwie się stanie; można mieć tylko pewność, że dokonane zmiany są najlepsze z możliwych. Z kolei świadomość, poprzez skupienie uwagi na niciach, tworzy kanał energetyczny dla nadświadomości, poprzez który możliwa jest ta ingerencja. Całości dopełnia formuła w języku hawajskim, którą można nazwać modlitwą bądź zaklęciem (kahuni nazywają ją pieśnią, bo ma też melodię, którą można sobie darować). Istota rzeczy polega na tym, że wypowiedane słowa z jednej strony zawierają sformułowanie prośby do nadświadomości, a z drugiej strony ich brzmienie ma moc wprowadzenia umysłu w odmienny stan świadomości, który umożliwia wykonanie zadania. Obecna tu jedność treści i ładunku energetycznego przywodzi więc na myśl *mowę tworzenia*, znaną ze słyszenia miłośnikom fantazy.

W powyższym rytuale nadświadomość przywoływana jest „zdalnie” do spełnienia określonego zadania; można jednak dokonać czasowego połączenia nadświadomości ze świadomością i uciąć sobie pogawędkę. Piszę o tym tak lekko, choć praktycznie dla każdego jest to, przynajmniej za pierwszym razem, głębokie przeżycie duchowe. Można wtedy np. usłyszeć nagą prawdę o sobie, co jest nie lada szokiem. Jeśli chodzi o mnie, uzyskałem jednego razu następującą radę/prognozę: *rzecz, o którą pytasz, jest sama w sobie nieistotna, lecz będzie załączkiem czegoś ważnego*. I rzeczywiście, dzięki tej sprawie (całkiem nieistotnej) i przy moim udziale narodził się pomysł utworzenia na naszej uczelni kierunku geografia. Całkiem jak Pytia, prawda?

Rytuał połączenia z Wyższym Ja jest w hunie tak ważny, że jego hawajska nazwa, *ho'omanamana*, jest synonimem huny. Jest to dość skomplikowana procedura, której

tronem jest pobieranie z powietrza energii (*manamana*) przy pomocy oddechu *ha*. Co ciekawe: *po żeńskiej stronie* żaden rytuał nie jest potrzebny, czego miałem okazję doświadczyć na warsztatach żeńskiej odmiany huny w Jastrzębiej Górze w 1997 r. (prowadziła je Laura Kealoha Yardley, której babka była kahuną). Zauważyłem też, że połączenie z Wyższym Ja jest praktykowane również w innych systemach duchowych i religiach. Dla przykładu mój znajomy z kursów huny – który nieoczekiwanie przystał do mormonów (i na dzień dobry został *kapłanem Aarona*) – przyznał, że mają tam coś podobnego. Ja z kolei doświadczyłem połączenia z Wyższym Ja na wczasach z Polską Szkołą Jogi jasnowidza Łukasza Jasielskiego z Krakowa – przy pomocy chrześcijańskiej mantry *Kyrie*. Ma ona wyrefinowaną melodię, eksponującą zwłaszcza głoskę *e*, która w języku hawajskim oznacza uprzejme zaproszenie. Ciekawa zbieżność, prawda?

Co się dzieje z trzema umysłami po śmierci? Otóż łączą się one ze sobą, tworząc stan doskonały nazywany duszą. Jeśli jednak śmierć jest gwałtowna, może się zdarzyć, że Niższe Ja oddzieli się od Średniego i wtedy jest kłopot. Otóż Średnie Ja dysponuje tylko pamięcią krótkotrwałą; nie wie więc, że nie żyje – co owocuje zjawiskami typu *poltergeist*. Z kolei podświadomość, będąc (typowo) na poziomie siedmiolatka, daje się łatwo omotać komuś, kto zna się na rzeczy, np. kahunie. Ten może ją napuścić na osobę, która mu podpadła, aby odsysała jej energię (*mana*). Na tym polegała słynna hawajska *modlitwa śmierci*, za pomocą której kahuna budował swój autorytet. Ale to już jest Ciemna Strona Mocy, z którą nie miałem (i za nic nie chciałbym mieć) nigdy do czynienia. Na szczęście istnieje także jasna strona i żadne midichloriany nie są potrzebne, żeby z niej korzystać. A zatem potencjalnie wszystkim można życzyć od serca – niech Moc będzie z wami!

Andrzej Prószyński

P. S. Całkiem inną wersję tego artykułu (z licznymi ilustracjami i linkami) można znaleźć na mojej stronie internetowej: <http://matematyka.ukw.edu.pl/ap/huna.html>

6. WYPRAWA Z SOLARIS TRAVEL (1)

Wyprawa Bretońska (15-26.07.2011 r.)

Wyprawa Bretońska, a właściwie Bretońsko-Alzacka, przebiegała w tym roku pod hasłem „Przeliczam”. Usłużny GPS, nazwany przez Wojtkę Sedeńkę Zosią, dostarczał nam po drodze wielu nieprzewidzianych atrakcji. Biedaczka w najbardziej newralgicznych momentach zaczynała swoje przeliczanie, informując nas o tym skrupulatnie – żeby nie było. „Dzięki niej” zdarzało się, że parę razy okrążyliśmy niejedno rondo, których we Francji jest bez liku. Kilkakrotnie skrzyliśmy też w niepożądaną drogę i traciliśmy cenny czas na bezsensowne krążenie, ale ogólnie było jak zawsze – REWELACYJNIE!

Pogoda iście angielska – w szkocką kratę – trochę deszczu, trochę słońca. Ale nam, wyszkolonym globtroterom, nic nie straszne. Zaliczyliśmy dzielnie wszystkie punkty programu, krok po kroku zwiedzaliśmy zaplanowane zamki i miasteczka, bez względu na pogodę. Była kąpiel w Atlantyku i spacer po bretońskich klifach. Obaj kierowcy – Darek i Wojtek, nasz organizator wypraw wszelakich – wytrwale dowozili nas w każde miejsce, pomimo utrudnień stwarzanych przez wspomnianą wyżej panią GPS. Mknęliśmy więc dzielnie po doskonałych, bez względu na to czy miejskich, lokalnych,



czy nawet wiejskich francuskich drogach, naszymi małymi busikami, które już na początku wyprawy zostały nazwane Żółty Czub (busik prowadzony przez Wojtka) i Szary Ogon (busik Darka).

Wyruszyliśmy, jedni z Olsztyna, inni z Warszawy, bardzo punktualnie i po 21 godzinach dotarliśmy do Alzacji, gdzie w hoteliku pod Strasburgiem mieliśmy pierwszy przystanek. Dzięki temu, że na miejscu byliśmy już o 14:30, spokojnie mogliśmy poświęcić resztę dnia na przyjemności. Kilku panów popływało w basenie, po czym ruszyliśmy pozwiedzać słynne miasto.

Sam **Strasburg**, pomimo tego, że należy do niewielu miast na świecie, których centrum zostało sklasyfikowane przez UNESCO jako światowe dziedzictwo ludzkości, nie zrobił najlepszego wrażenia, ale starówka nad Renem, położona na swego rodzaju wyspie otoczonej kanałami – naprawdę piękna, razem ze swoją Małą Francją, dawną dzielnicą rybaków i garbarzy, oraz niezwykłą Katedrą Notre-Dame wzniesioną z czerwonego piaskowca. Charakterystyczną cechą tej ażurowej w strukturze katedry jest to, że posiada ona tylko jedną wieżę – północną.



Planowano również wznieść wieżę południową, ale nigdy nie zrealizowano tego zamierzenia. Spacerując ulicami Strasburga natknęliśmy się też na ładne budynki Uczelni Medycznej z XVI wieku.



Ponieważ symbolem Alzacji są bociany, na każdym kroku natykaliśmy się na motyw tego ptaka i jego pluźkowe podobizny.

Dzień ten zakończyliśmy zadowoleni, chociaż naprawdę bardzo zmęczeni.



ALZACJA – historyczna kraina na płn.-wsch. Francji nad Renem. Umiejscowiona między pasmami gór Wogezów i Schwarzwald w Niemczech. W starożytności zamieszkiwana przez plemiona celtyckie. Przygraniczne położenie m.in. z Niemcami było powodem częstych sporów i walk. Przez wieki mieszały się tu wpływy dwóch kultur i tradycji francuskiej z niemiecką, co odczuwa się aż do dziś. Kraina o wspaniałym mikroklimacie. Suche i słoneczne lata sprzyjają uprawie winorośli. To wzdłuż wschodnich Wogezów rozciąga się słynny Winny Szlak – Route du Vin d'Alsace – którego początki sięgają czasów rzymskich. Francuskie wina wszelkich marek i jakości będą towarzyszyć nam przez całą wyprawę.

Stolicą Alzacji jest Strasburg – ponad 400-tysięczne miasto. Tutaj studiował prawo Goethe i pracował Gutenberg. Wzdłuż Renu przebiegała linia Maginota. Strasburg stanowił aż do XVIII wieku ważny ośrodek teologiczny. Nosił przydomek „miasta tysiąca kościołów” z powodu licznych klasztorów, kościołów, kongregacji i synagog. Obecnie Siedziba Trybunału Praw Człowieka, Rady Europy i Parlamentu Europejskiego i stolica Unii Europejskiej.

AP



Następnego dnia rano wyruszyliśmy na zwiedzanie Alzacji, pomimo ulewnego deszczu. Pierwszym punktem programu był **Colmar**, zwany Wenecją Alzacji. Po drodze do miasta przejeżdżaliśmy obok oryginalnego posągu Statuy Wolności, której replika zdobi wybrzeże Nowego Yorku – to z Colmaru bowiem pochodzi jej twórca. Miasteczko okazało się warte odwiedzin – piękne stare domy, małe uliczki, parki, kanały z gondolami. Nawet deszcz nie zmącił nam dobrego wrażenia.



Kolejnym punktem programu był zamek Hohenstaufów – **Koenigsbourg**. To potężna twierdza, przekazana w XIX w. cesarzowi niemieckiemu Hohenzollernowi, którą naprawdę warto zobaczyć. Przepięknie położona w paśmie górskim Wogezy i z ciekawymi wnętrzami. Osobiście podobały mi się niesamowicie przepiękne piece

kaflowe w komnatach zamku. W jednej z nich natknęliśmy się też na podwieszanego do sufitu „wypchanego” smoka. Czyżby ówczesny pan zamku chciał uchodzić za łowcę smoków?



Potem ruszyliśmy na północ Alzacji. Przestało padać i nawet wyszło słońce.

Zmierzaliśmy do Saverne, ale po drodze odwiedziliśmy jeszcze jeden położony na wysokiej skarpie pasma Wogezy zameczek zwany **Haut du Barr – Oko Alzacji**. Nad przepaścią, między jedną a drugą częścią zamku, wisiła kładka, którą nazwaliśmy imieniem Rycha Solarycha, na pamiątkę tego, że przełamał na niej swój lęk wysokości. Po tej krótkiej wizycie ruszyliśmy wreszcie do **Saverne**, miasta książąt Rohanu, którego symbolem jest jednorożec, położonego nad kanałem łączącym Ren z Marną. Droga była piękna, otoczona pasmem winorośli, polami słoneczników i kukurydzy. W samym miasteczku obejrzelśmy katedrę, pałac rodu Rohanu i pospacerowaliśmy uliczkami miasta. Niektórzy dotarli do rosarium, które jednak okazało się jedynie małym ogrodem różanym i, ponieważ nie wszystkie kwiaty były w rozkwicie, miejsce to nie sprawiło imponującego wrażenia.



Kolejny dzień – **poniedziałek** – to już przelot nad Loarę. Przejechaliśmy przez Burgundię i Szampanię, pięknymi lokalnymi drogami, ciągnącymi się pośród lasów,

pagórków i wspaniale zagospodarowanych pól. Podziwialiśmy gospodarność Francuzów – to na pewno coś, czego powinniśmy się od nich nauczyć. Wszystko zadbane, czyste, aż miło popatrzeć.

A niby to tylko wiejskie drogi. Niestety, francuskie „wiejskie drogi” niejednokrotnie sprawiają lepsze wrażenie niż nasze miejskie.

Ponieważ mieliśmy dobry czas, zapadła decyzja, że po drodze odwiedzimy miasteczko **Tonnerre**, słynące z niezwykłego źródła **Fosse Dionne**. Wypływa ono z bardzo głębokiej studni pod skałą, której prawdziwa głębokość nie jest nawet znana. W średniowieczu uważano, że są to wrota piekieł. Współcześni pletwonurkowie próbowali zbadać rzeczywistą głębokość studni, jednak udało im się osiągnąć „tylko” 360 m i jeszcze nie dotarli do dna.



W jednej z takich ekspedycji zginęło trzech ludzi i władze zabroniły dalszych badań. W poszukiwaniu źródła, które okazało się być niemal za rogiem parkingu, na którym postawiliśmy nasze busiki, dotarliśmy również do ładnego kościoła na wzgórzu. Dzięki temu zrobiliśmy sobie przyjemny spacer po wzgórzu i popodziwialiśmy widok na panoramę miasteczka.

Kilkanaście kilometrów dalej zatrzymaliśmy się w **Chablis**. Tutaj w spółdzielni win mogliśmy degustować te najlepsze i dokonać zakupów, jeśli ktoś chciał.



Po wyjeździe z Chablis mogliśmy jeszcze podziwiać, tym razem niestety tylko z okien busików, piękną katedrę w **Auxerre** górującą nad miastem.

Na koniec dnia dotarliśmy do celu – miasta **Tours** położonego na Loarę, które miało stać się naszym punktem wypadowym na najbliższe trzy dni. **Dolina Loary** słynie bowiem z przepięknych zamków, których jest w sumie ponad 300, a my chcieliśmy zobaczyć chociaż ich niewielką część.

Tego wieczora, jak i kolejnych, rozkoszowaliśmy się degustacją win i pysznych, chociaż niezwykle tłustych, francuskich serów.

Iwona Czaplą

cdn

Stereo i w kolorze

018

„Blade Runner” robi za chłopca do bicia i niech mi ktoś powie, że nie mam racji, ale... nie tylko racja przemawia za biciem „Blade Runnera”. Wiele przemawia – z mojego punktu widzenia zaś przede wszystkim to, że nasze światowe fandomowe (fandomiarze wszystkich krajów, łączcie się!) arcydziełko personifikuje filmową fantastykę „w ogóle”. A dokładniej: jej stan. Czyżby terminalny? Unikam prorocत्व, ale wiem, że ci, co nie szanują przeszłości, nie mają przyszłości – i już.

www.filmsite.org – miejsce, które każdy powinien odwiedzić chociaż raz (wersja dla miłośnika fantastyki: odwiedzić raz i umrzeć) zwraca uwagę na to, jak bardzo rzadko filmy fantastyczne zdobywają prestiżowe nagrody, a w ogóle nie zdobywają Oscarów. Umieszcza przy tym fantastykę w gronie produkcji, które nazywa rozbijającą: „popcorn movies”. Jest oczywiste, że fantastyce to określenie nie przysługuje z urodzenia. Że musiała sobie na nie „tymi rękami” zarobić.

A właściwie nie. Nie „rękami”. Fantastyka zarobiła sobie na powszechne lekceważenie, na przypisanie do kategorii jednego wielkiego efektu specjalnego czymś, co w skrócie nazwać można „buźką Harrisona Forda”.

Ten kiepski aktor z niekiepskimi możliwościami (John Book w „Świadku” był niemal Marlowem, choć glina) firmuje buźką to, co we współczesnej fantastyce obraża inteligencję szypansa, a przeciętnie inteligentnego delfina doprowadziłoby do samobójstwa. Huk działa w pustce kosmosu! Pojedynki w próżni naśladujące (nieudolnie) walki lotnicze z czasów wojen światowych i (żenująco nieudolnie) zabójstwo King-Konga! Nieuchronnie wymierająca ludzka populacja Ziemi opływająca deszczem, jaskrawymi barwami, obfitością dóbr wszelakich z przewagą chińszczyzny z whisky oraz krzykliwymi reklamami wymagającymi niezłych kilowatów! Wszystko to i więcej już zawsze będzie się kojarzyło z dwiema minami: skrzywioną bitego twarziela za dychę oraz szeroko, głupkowato uśmiechniętą kapitana szkolnej drużyny koszykówki, którego właśnie rozdziwicyła najbardziej wyzywająca czirliderka.

Co by tu jeszcze powiedzieć? Że warta skórka tej wyprawki?

Słysz wasze głosy, słysz i odpowiadam: „Nie, kochani! Z faktu, że kino rodziło się jako rozrywka jarmarczna NIE WYNIKA, że ‘popcorn movies’ to jego stan naturalny”. Po urodzeniu szczamy w pieluchę bez wstydu, ale wstyd się nie nauczyć korzystać z toalety. I odpowiadam jeszcze: „Nie, kochani! NIE MA TAK, że na jednej szali ‘popcorn movies’, na które chętnie kupuje się bilet, a na drugiej ‘produkcje artystyczne’, wyhodowane metodą hydroponiczną na dotacjach. To trochę bardziej skomplikowane”.

Dlaczego jest tak, że głupi melodramat chwali się „Przeminęło z wiatrem”, a „komedie romantyczne” to tylko moda, co przychodzi i – chwalcie Pana! - odchodzi? Dlaczego jest tak, że filmowy kryminał chwali się „filmem noir” sprzed półwiecza z górką („Dotyk zła” z 1958 roku uchodzi za ostatni kanoniczny film tego gatunku), choć od tej pory nakręcono kryminalnej mierzywy więcej, niż da się policzyć: nawet więcej, niż mierzywy fantastycznej? Dlaczego jest tak, że film sensacyjny ma swoją „Północ, północny zachód” na dodatek do wszystkiego innego, o czym wspominać żenada?

Choć nic z tego, co wyżej, nie wychowało sobie tak doskonałego medium najskuteczniejszej reklamy „word of mouth” jak fandom? Więc... co reklamuje fandom?

Pytam jakbym nie wiedział, idiota.

Filmowa fantastyka rodziła się po innej, tej właściwej stronie torów, choć wśród przodków miała i Melies'a. To filmowa fantastyka odpowiedzialna jest za ekspresjonizm, przy którym „wizje artystyczną” Scotta można pognieść w garści i wyrzucić do bardzo małego kosza. Jest odpowiedzialna za „Metropolis”. Jest odpowiedzialna za „King Konga”.

Niskiego urodzenia „film noir” ma twarz Bogarta, arystokratyczna fantastyka ma buźkę Harrisona Forda. Tak, słysz wasze głosy i odpowiadam: „Nie, kochani! To nie jest tak, że innej mieć nie może!”.

Może nie Caana, tę z „Rollerballa”, który nie miał następców, ale... co powiecie na twarz Charltona Hestona?

Spytacie: a kto to?

Z rozmowy radiowej przeprowadzonej między amerykańskim okrętem wojennym a Kanadyjczykami. Podobno miała ona miejsce w październiku 1995 r. u wybrzeży Nowej Funlandii.

Kanadyjczycy:

Proszę o zmianę kursu o 15 stopni na południe, w celu uniknięcia kolizji.

Amerykanie:

Radzimy wam zmienić kurs o 15 stopni na północ, aby uniknąć kolizji.

Kanadyjczycy:

To niemożliwe. To wy będziecie musieli zmienić kurs o 15 stopni na południe, aby uniknąć kolizji.

Amerykanie:

Mówi kapitan okrętu wojennego Stanów Zjednoczonych.

Powtarzam ponownie: wy zmieńcie kurs.

Kanadyjczycy:

Nie. Powtarzam: zmieńcie kurs, aby uniknąć kolizji.

Amerykanie:

Mówi kapitan lotniskowca USS „Lincoln” – drugiego pod względem wielkości okrętu bojowego Floty Atlantyckiej amerykańskiej marynarki wojennej.

Towarzysz nam trzy krążowniki, trzy niszczyciele i wiele innych okrętów wspomagania. Domagam się, abyście zmienili kurs o 15 stopni na północ.

W innym przypadku podejmiemy kontrdziałania w celu obrony grupy.

Kanadyjczycy:

Mówi latarnia morska. Wasz wybór...



[z Internetu]

GDAŃSKI KLUB FANTASTYKI

INFORMATOR GKF
#269
ISSN 1505-8476

ADRES GKF: Gdańsk Przymorze, ul. Opolska 2

ADRES KORESPONDENCYJNY: skr. poczt. 76, 80-325 Gdańsk 37

STRONA: www.gkf.org.pl

REDAKCJA: Jan Plata-Przechlewski (red. nacz.), Krzysztof Papierkowski, Marcin Szklarski,
Michał Szklarski

OKŁADKA: Sławomir Wojtowicz

DRUK : PRINT GROUP Sp. z o.o., <http://printgroup.pl>

KONTO BANKOWE GKF: PKO BP I O/Gdynia nr 52 1020 1853 0000 9902 8359

Nakład 300

WYDAWNICTWO BEZPŁATNE

Teksty drukowane w „Informatorze” odzwierciedlają przekonania Autorów i nie zawsze pokrywają się z poglądami redakcji



**WYSTAWA
ILUSTRACJI
KOMIKSOWEJ**

**KRZYSZTOFA
CHALIKA**

strony 12-13

